Łódź
odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NR 37 (1240) ROK XXIV 13 WRZEŚNIA 1981 R. CENA 7 ZŁ

9 września rozpoczął w Łodzi obrady VI Zjazd Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Można oczekiwać, że zjazd, ze względu na swój bogaty i obszerny program, będzie zarówno ważnym wydarzeniem naukowym jak i społecznym.

Publikowany dziś na łamach „Odgłosów" referat prof. dr JOLANTY KULPIŃSKIEJ z Instytutu Socjologii w Łodzi został wygłoszony podczas inauguracyjnej sesji zjazdu.

Prof. dr J. Kulpińska jest przewodniczącą komisji powołanej przez ZG PTS. Zadaniem komisji było zebranie naukowej dokumentacji strajków, które odbyły się od lipca do września ub. roku. Plon prac komisji zostanie opublikowany w osobnym tomie pt. „Strajki — Lato 80".

Jolanta Kulpińska

STRAJKI — LATO'80

1. PRZEBIEG WYDARZEŃ

Ustalenie pełnej statystyki strajków w opisywanym okresie jest właciwie niemożliwe, ponieważ brak prawnej regulacji nie dawał kryteriów. Jak wiadomo brak takiej regulacji wynikał z uznania strajku za niemożliwy na gruncie socjalistycznych stosunków pracy. Akcje protestacyjne w środowisku pracy nazywano zatem „przerwami w pracy". A że starano się minimalizować ich zakres, długotrwałość i siłę nacisku — nie rejestrowano ani dla potrzeb administracji gospodarczej ani dla potrzeb aparatu politycznego.

Tradycyjne określenie strajku głosi, że *polega on na zbiorowym zaprzestaniu pracy przez pracobiorców w celu przedstawienia żądań wobec pracodawcy.*

O podjęciu strajku decyduje nieskuteczność innych sposobów zgłaszania żądań, określony stan napięcia i niezadowolenia społecznego związany z imperatywnością owych żądań oraz zorganizowanie się dla przeprowadzenia akcji. Wszystkie te elementy ujawniły swą siłę latem 1980 r.

Od pierwszych dni lipca, jako reakcja na podniesienie cen mięsa, w różnych zakładach przemysłowych w całym kraju wystąpiły kilkugodzinne „przerwy w pracy", połączone z dyskusjami i żądaniami podwyżek płac, obniżenia cen w bufetach itp.

Cechy charakterystyczne przeważającej większości strajków lipcowych i pierwszej połowy sierpnia to: *krótkotrwałość, „zamknięcie" w obrębie zakładu,* a nawet poszczególnych wydziałów, *niski stopień organizacji,* tzn., że nie ma komitetu strajkowego, wyznacza się jedynie negocjatorów. Postulaty dotyczą płac,

Dalszy ciąg na str. 3

Foto: R. Łucyszyn

SPOSÓB NA SPEKULACJĘ?

KONRAD FREJDLICH: Zebraliśmy się tu, adwokat STANISŁAW MAURER, adwokat MIROSŁAW OLCZYK i sędzia STANISŁAW ZIMOCH, z inicjatywy pani poseł HALINY LATECKIEJ, która wróciła z komisji sejmowej, gdzie dyskutowany był projekt nowej ustawy o spekulacji. Spekulacja jest zjawiskiem, które daje nam się ostatnio we znaki. Nic dziwnego, że rozlegają się głosy, że trzeba z nią walczyć. Rząd skierował projekt nowej ustawy do sejmowych komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości. Nie narzucając kierunku naszej dyskusji chciałbym ze swej strony przypomnieć, że nie jest to pierwszy akt prawny w Polsce zwrócony przeciw spekulacji. Już w 1944 r. PKWN wydał dekret o zwalczaniu spekulacji i lichwy wojennej. Potem, w roku 1947, zastąpiła go ustawa o zwalczaniu drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym. W roku 1953 znów mamy dekret, tym razem o ochronie interesów nabywców w obrocie handlowym. Wreszcie, po Październiku 1956 r. weszła w życie ustawa o zwalczaniu spekulacji i ochronie interesów nabywców oraz producentów rolnych w obrocie handlowym. Jej moc uchylił nowy kodeks karny z roku 1969, w którym znalazły się także przepisy antyspekulacyjne. Powstaje więc pytanie, czy ze spekulacją nie można skutecznie walczyć na gruncie obowiązującego już prawa? Czy rzeczywiście potrzebne są nowe, nadzwyczajne uregulowania. Mnogość aktów prawnych, które na zasadzie efemeryd pojawiały się w naszym życiu społecznym wskazuje, że walka ze spekulacją jest nie tylko trudna, ale mało skuteczna. Czy projekt nowej ustawy nie jest jeszcze jednym listkiem figowym, którym chcemy przysłonić wstydliwy problem, zamiast zlikwidować jego źródło. Droga do wyrugowania paskarstwa wiedzie przecież poprzez obfitość towarów na rynku a tego nam nie zagwarantuje nawet najdotkliwsza ustawa karna. Ale miałem nic nie sugerować. Zapraszam więc państwa do szczerej wymiany poglądów.

STANISŁAW ZIMOCH: — Poszukiwanie środków do zwalczania negatywnych zjawisk społecznych na drodze prawa karnego jest ostatecznością. Trzeba robić wszystko, żeby te nieprawidłowości wyeliminować na drodze właściwej dystrybucji, organizacji i zarządzania. Sięganie do prawa karnego to sięganie po nóż chirurga, który wycina ropień, ale nie może nic uczynić, aby zapobiec jego powstaniu.

Czy spekulację możemy pokonać na gruncie dzisiejszych rozwiązań prawnych? Kiedy zaopatrzenie było względnie dobre, to te przepisy wystarczyły. Są zawarte w artykule 221 do 225 kodeksu karnego, mamy też kilka przepisów w kodeksie wykroczeń.

Dziś mamy do czynienia z nowym zjawiskiem. Wprowadzono reglamentację. Określona osoba jest uprawniona do otrzymania karty zaopatrzenia, na którą może otrzymać określone towary. Dzisiejsze przepisy nie przewidują takich stanów faktycznych jak wchodzenie w niedozwolony sposób w posiadanie kartek, skupywanie kartek w celu nabywania towarów czy to do własnej konsumpcji, czy też z zamiarem dalszej odsprzedaży. Możemy dziś zwalczać spekulacyjne nabywanie i zbywanie towarów przez sprzedawcę czy kupującego, ale prawo przewiduje w takim razie jako nieodzowny element przestępstwa chęć korzyści majątkowej. Poza sferą prawa karnego pozostałoby więc nabywanie towarów dla własnego, lepszego zaopatrzenia. Dlatego projekt nowej ustawy odrywa się od elementu korzyści majątkowej. W myśl niego wystarczy sprzedać towar z naruszeniem przepisów o zaopatrzeniu. Czy taki czyn powinien być uznany za przestępstwo to odrębne zagadnienie. Niemniej jednak tego typu działania pozostają dzisiaj poza sferą prawa karnego.

— Ale czy rzeczywiście powinno się tym interesować prawo karne? Czy w stosunku do nierzetelnej ekspedientki nie wystarczą kary dyscyplinarne?

STANISŁAW ZIMOCH: — Może jednak spróbujmy najpierw odpowiedzieć sobie, czego dzisiejsze prawo nie uwzględnia i co w związku z tym proponuje projekt ustawy. Podwyższa on, na przykład odpowiedzialność za ukrywanie przez sprzedawcę towaru przed nabywcą. Dziś taki czyn jest wykroczeniem karanym grzywną. Zastanawiam się czy jest celowa zamiana wykroczenia na przestępstwo karane więzieniem. Ale w kodeksie karnym ustawodawca pomija w ogóle kwestię kart zaopatrzenia, bo ich wtedy nie było. Skoro dziś wprowadziliśmy reglamentację niektórych towarów...

MIROSŁAW OLCZYK: — ...z tendencją do jej rozszerzenia.

STANISŁAW ZIMOCH: — Jest taka tendencja. I trzeba liczyć się z tym, że znajdą się ludzie, którzy będą chcieli wejść w posiadanie kartek w sposób nieuczciwy. Znam zresztą wypadek z terenu Łodzi, że osoba zajmująca się rozdzielnictwem kartek na cukier przywłaszczyła sobie 5000 bonów opiewających na 10 ton cukru. Na każdym kilogramie zarabiała 9 zł. Projekt ustawy uwzględnia takie przypadki. Z jednej strony wprowadza penalizację pewnych działań, z drugiej przewiduje pewną depenalizację, łagodniejsze potraktowanie, bo przesuwa czyny stanowiące dziś przestępstwo do wykroczeń. Może zresztą dlatego, że uzyskanie orzeczenia przed kolegium jest szybsze.

Można oczywiście zapytać, czy nie wystarczyłaby tu odpowiedzialność dyscyplinarna czy służbowa? I trudno na to odpowiedzieć jednoznacznie. Gdyby kontrola była rzetelna, gdyby wewnętrzne organa kontroli przeprowadzały ją systematycznie, to może by wystarczyła, choć karty zaopatrzenia komplikują sytuację.

— Dyskutujemy o spekulacji. A jak nazwać wprowadzenie do oficjalnego handlu papierosów importowanych po paskarskich cenach dorównujących tym na bazarach?

MIROSŁAW OLCZYK: — Czy przedsiębiorstwo państwowe może być spekulantem?

— Właśnie. Projekt ustawy chroni nas przed działaniami ekspedientki czy babci sprzedającej pietruszkę, nie chroni zaś przed nieuzasadnionym zyskiem osiąganym przez instytucje będące na rynku monopolistą w dziedzinie zaopatrzenia. Uważam, że jest to zjawisko groźne społecznie, bo stanowi zachętę do działań spekulacyjnych na własny rachunek.

Dalszy ciąg na str. 4—5

NAUCZYCIEL

Pożalił mi się kiedyś: — *Co ja tym ludziom zrobiłem że mnie tak nienawidzą? Kilku najchętniej utopiłoby mnie w łyżce wody...*

— *A może byłoby lepiej, gdyby zmienił pan szkołę?* — spytałem nieśmiało.

— *Jak to?* — żachnął się — *po 6 latach tyrania być kopnięty jak pies? Odejść bez słowa podzięki i zaczynać od nowa? Gdyby to była tylko sprawa ambicji, ale tu chodzi o zwykłą sprawiedliwość. Bo ja zwolnić się nie dam. Nie zasługuję na to. I będę się bronić... A że hałas jest? Musi być, żeby wreszcie przyjrzano się temu co się w szkole dzieje. Jak to parę osób w białych rękawiczkach załatwia człowieka... A reszta tylko patrzy, nie ruszając ręką...*

Tomasz Soldenhoff

ZBUNTOWANI

* * *

Przeszłość kryje korzenie tego konfliktu i początki sojuszu Andrzeja S. z młodzieżą. Barykady budowano przez lata, ale publiczną sprawa stała się niedawno: wiosną 1981 roku. Rolę kija wetkniętego w mrowisko odegrała skarga, jaką Andrzej S. w końcu lutego wysłał do Prokuratury Rejonowej Łódź—Śródmieście.

Szkopuł w tym, że Andrzej S. podpisał ją jako przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" w Zespole Szkół Budowlanych nr 2, ale nawet nie poinformował o tym kolegów, nie mówiąc już o uzgodnieniu treści.

Dalszy ciąg na str. 8

SYTUACJA KULTURY

Rozmowa z JÓZEFEM TEJCHMĄ, ministrem kultury i sztuki PRL

Panie ministrze, obecny okres w Polsce charakteryzuje kryzys zaufania, zwłaszcza w odniesieniu do władzy. Dlatego proszę mi wybaczyć, że na początek naszej rozmowy spytam, jaki jest pański polityczny rodowód?

JÓZEF TEJCHMA: W wiejskiej szkole we wsi Markowa w Małopolsce był nauczyciel, który pochodził z chłopskiej rodziny z tejże wsi. Pozycja społeczna nauczyciela była przed wojną bardzo wysoka. Dla nas jako kilkunastoletnich uczniów tej szkoły był to żywy wzór, propozycja, która nas nęciła. Myśleliśmy, że ten wzór może być zrealizowany niekoniecznie przez wielkie zmiany ustrojowe, o których wówczas niełatwo było marzyć, czy przez skutki wojny, które odmieniły losy tysięcy ludzi. Po prostu sądziliśmy, że jest potrzebna jakaś nadzwyczajna wola, energia i że to może wystarczyć.

Dalszy ciąg na str. 7

KRONIKA KULTURALNA

TRWA MIESIĄC FILMU POLSKIEGO. Imprezą objęte zostały wszystkie kina stałe i ruchome. W ramach „miesiąca" będziemy mogli zobaczyć najnowsze pozycje premierowe, a także przypomnieć starsze wybitne filmy polskie. Z premier przygotowano „Szarżę, czyli przypomnienie kanonu", „Mniejsze niebo", „Gorączkę" i „Czułe miejsca".

Swego rodzaju atrakcją jest odbywający się w kinie „Włókniarz" przegląd filmów z festiwalu w Gdańsku. Zobaczymy tam kolejno: „Czwartki ubogich" S. Szyszki, „Rdzę" R. Załuskiego, „Zasieki" A. Piotrowskiego, „Vabank" J. Machulskiego, „Głosy" J. Kijowskiego, „Miłości wszystko wybaczy" J. Rzeszewskiego, „Rysia" R. Różewicza, „Dziecinne pytania" J. Zaorskiego, „Wojna światów" P. Szulkina, „Okup" W. Wójcika, „Ręce do góry" J. Skolimowskiego. Przygotowano także kilka cykli filmowych: „Kino moralnego niepokoju", „Najciekawsze debiuty reżyserskie", „Sensacja na ekranie", „Polskie filmy archiwalne", „Nowości filmu polskiego", „Komedie filmowe". Cykle te wyświetlane będą także w Piotrkowie, Sieradzu i Skierniewicach.

Ponadto w kinie „Iwanowo" prezentowany będzie w dniach 17—30 września dorobek łódzkiego środowiska filmowego, a w kinie „Zachęta" trwa już od 2 września „Przegląd twórczości B. Poręby".

Przygotowano także interesujące zestawy filmów dokumentalnych.

NOWĄ PREMIERĄ „Kabaretu pod Postacią Ssaka" wznowił swoją działalność w tegorocznym sezonie klub „TEST". Premiera odbyła się 4 września. Klub zapowiada także na wrzesień inne interesujące spektakle i dwa programy poetyckie w wykonaniu aktorów scen warszawskich: Ewy Borowik, Bożeny Dykiel i Norika Owsepiana, premierę spektaklu „Toast za Ararat", będącego opowieścią o walce narodu ormiańskiego o wolność oraz „Niezwykły pojedynek" — historię miłosną opartą na motywach twórczości A. Czechowa.

ŁÓDŹ ODWIEDZI we wrześniu słynny pianista zamieszkały w Stanach Zjednoczonych — **Wojciech Matuszewski.** Artysta będzie koncertował w Filharmonii Łódzkiej, Żelazowej Woli i w Liceum Muzycznym w Łodzi, którego jest absolwentem.

18 WRZEŚNIA wystąpi w Łodzi w Teatrze Wielkim „London Contemporary Dance Theatre" — światowej sławy zespół baletowy pracujący pod kierunkiem wybitnego choreografa, Roberta Cohana. W naszym mieście goście przedstawią program na który złożą się: „Masque of separation" Burta Alcantary, „Eos" Barry'ego Guy i „Class" Johna Kelhiora.

NIETYPOWEJ INAUGURACJI sezonu dokonała Filharmonia Łódzka. W minioną niedzielę odbył się koncert symfoniczny w Parku Ludowym na Zdrowiu. Program koncertu był różnorodny, znalazły się w nim m.in. utwory K.M. Webera, W.A. Mozarta, P. Czajkowskiego, S. Moniuszki. Orkiestra wystąpiła pod dyrekcją Zdzisława Szostaka.

W NIEDZIELĘ, 5 września, w Piotrkowie Trybunalskim odsłonięto tablicę poświęconą gen. dyw. Stefanowi Roweckiemu-Grotowi. Tablicę umieszczono na domu, w którym generał się urodził i spędził dzieciństwo. Odsłonięcia tablicy dokonała jego córka, Irena. Uroczystość odsłonięcia tablicy poprzedziła msza polowa celebrowana przez ordynariusza diecezji łódzkiej, biskupa Józefa Rozwadowskiego.

INTERESUJĄCĄ WYSTAWĘ przygotowało dla zwiedzających Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, mające swoją siedzibę w dawnym więzieniu przy ul. Długiej (obecnie ul. Gdańskiej). Udostępniony zostanie zwiedzającym zachowany w oryginalnym stanie dziedziniec więzienny. Jedną z osobliwości ekspozycji stanowić będą płaskorzeźby z cokołu przedwojennego pomnika Tadeusza Kościuszki.

W SALONIE SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ obejrzeć można wystawę grafik gdańskiego artysty, Cezarego Paszkowskiego.

W DNIU 18 MARCA BR. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi na sesji Rady Narodowej złożyło wniosek w sprawie nadania ulicom (placom) na terenie m. Łodzi następujących nazw:

gen. Władysława Sikorskiego — inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego

Armii Krajowej — Batalionów Chłopskich

Szarych Szeregów — Bohaterów Monte Casino.

Wniosek nasz został zaakceptowany na posiedzeniu Prezydium Rady Narodowej dnia 2 kwietnia 1981 r.

Jak dotąd jedynie wniosek pierwszy został zatwierdzony uchwałą Rady Narodowej dnia 18 maja br.

Pozostałe zostaną również zatwierdzone po przygotowaniu przez Głównego Geodetę projektu uchwały.

STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW KULTURY organizuje w miesiącach wrzesień, październik br. cykl pokazów programów kabaretowych nowego nurtu, jaki reprezentują takie grupy jak **„Babsztyl", „Trzeci oddech Kaczuchy", „Wały Jagiellońskie"** i **„Kapota".**

Cykl tych pokazów otworzy goszcząca w Łodzi w dniach 18—20 września grupa „Babsztyl" z Gdańska.

Spektakle będą się odbywały w sali ZDK Zakładów im. 1-go Maja przy ulicy Armii Czerwonej w godzinach 18.00 i 20.00.

Pragniemy przypomnieć, że zespół „Babsztyl" jest dwukrotnym laureatem ogólnopolskich przeglądów piosenki studenckiej w Krakowie, laureatem Ogólnopolskiego Festiwalu Kabaretowego w Toruniu i ostatniego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. W oprawie kabaretowej zespół „Babsztyl" uprawia muzykę folk i country.

STK będzie informowało o kolejnych datach proponowanego łódzkiej publiczności cyklu, serdecznie zapraszając na wszystkie pokazy.

Na tej kolumnie zwykle publikujemy aktualności. Czasami z tzw. przyczyn niezależnych od redakcji nie mogą się one ukazać i w ostatniej chwili zastępujemy je jakimś materiałem, o którym wiemy na pewno, że nie wzbudzi niczyich wątpliwości. Bywa i tak, że wtrącają się siły wyższe i trzeba coś szybko zaimprowizować. Zawsze to jednak materiał zastępczy. Tak jest i obecnie, gdyż z powodu przedłużania I tury Zjazdu „Solidarności" nasz specjalny wysłannik nie wrócił w umówionej porze. Zapowiadam więc jego relację z Gdańska za tydzień. A ponieważ i zabrakło na zjeździe argusowego oka telewizji (o tej „aferze" pisze na str. 12 dr Gazda), musimy się uzbroić w cierpliwość.

Cierpliwość i silne nerwy to w ogóle cechy, które od pewnego czasu rosną w cenie. Nie u wszystkich, rzecz jasna. Rocznica Sierpnia 80 wywołała w naszej prasie falę okolicznościowych artykułów, a wśród nich nawet kilka publicystycznych prób bilansowania minionych 12 miesięcy w kategoriach zysku i strat, jakie stały się udziałem całego społeczeństwa. Myślę, że na szerszy komentarz jest za wcześnie, przynajmniej o miesiąc: kilka ważnych spraw czeka przecież — przynajmniej na formalne — potwierdzenie.

Sporo jednak wiemy. Jedni to widzą, inni odczuwają na własnej skórze. Są pewnie i tacy, którzy zacierają ręce w złudnym przeświadczeniu, że ich racje będą na wierzchu. Zostawmy jednak na boku odczucia, gdy rzeczywistość skrzeczy aż nazbyt głośno, a fakty ustawiają się w ciąg coraz bardziej jednoznaczny.

Niepokoi mnie bieg wydarzeń, ich dynamika w kierunku mnożenia konfliktów. Przypomina to działanie rakiety wieloglowicowej, która przy odpaleniu wybucha raz, a razi niezliczoną ilość miejsc. Tydzień temu („Nie było wakacji tego lata") przestrzegałem przed niebezpieczeństwem przyzwyczajenia się do życia w warunkach „ustabilizowanego" kryzysu. Dzisiaj jeszcze się waham przed sformułowaniem tezy, że czeka nas jeszcze większa bieda: trwanie w układzie permantnego konfliktu. Argument, że konflikt jest tylko dzieckiem kryzysu może być efektownym, ale mało przydatnym frazesem. A wszyscy mamy dosyć uproszczonych prawd.

Są też i prawdy nieco wstydliwe. Władze np. zdają się jeszcze nie w pełni rozumieć, że skończył się już bezpowrotnie luksus rządzenia. Dotyczy to aktualnie może mniej władz partyjnych, ale na pewno administracji państwowej i gospodarczej, zwłaszcza średniego i niższego szczebla. Nakaz i polecenie już praktycznie nie funkcjonują, czy raczej nie przynoszą efektów. Tak samo wieloletnie nawyki, rutyna, gra w układach personalnych, dyspozycyjność, wszystko to psu na budę warte. Działanie konwencjonalne, starymi metodami w czasach niezwykłych przynosi żałosne rezultaty. Przyziemne sprawy, choćby czysto organizacyjne, stają się dla ludzi wypranych z wyobraźni istną kwadraturą koła. A gdy jeszcze do tej konieczności działania nie rutynowego dochodzi opór lub przeciwdziałanie, powstaje Sodoma i Gomora, albo wielka niemoc.

Zwykło się mówić, że zrozumieć to wybaczyć. I zrozumieć można, że tak, jak ludzie tworzą system, tak i system kształtuje ludzi i wszyscy w jakimś zakresie jesteśmy dziećmi systemu dyrektywnego. Lata „treningu" wymagają teraz lat reedukacji. Nie może to się dokonać z dnia na dzień. Ale czy to zrozumienie może od zaraz uczynić z nas aniołów cierpliwości? Też złudzenia. Nie wymagając cudów, trzeba jednak stanowczo domagać się zmian w funkcjonowaniu państwa, gospodarki i ekonomiki, życia społecznego, które by wychodziły naprzeciw oczekiwaniom i potrzebom. Jest to nadal, niestety, tylko postulat, gdyż pozytywnych przykładów (nie zapowiedzi, ale faktów), przytoczyć można by nie za wiele.

To oczywiście jedna strona medalu. Nie chcę usprawiedliwiać władzy, ale przychodzą takie czasy, że trzeba władzy bronić. I to nie tylko jej funkcjonariusze i zwolennicy, co oczywiste, ale wszyscy, choćby do tej pory byli obojętni czy nieufni. Zgoda z samym sobą i logika rozwoju sytuacji nakazuje wręcz zaangażowanie po stronie nie silniejszego, ale w obozie historycznej racji. Myślę, że ten krzepnący sojusz sił porozumienia

JERZY WAWRZAK

W STRONĘ MILCZĄCEJ WIĘKSZOŚCI

i rozsądku jest większością, która nie utożsamia obecnych władz ze starym porządkiem. Obawiam się tylko, że jest to — posługując się terminem z innej strefy politycznej — milcząca większość. Spróbujmy, choćby częściowo, pokusić się o odpowiedź: dlaczego to większość jest obecnie w stanie inercji, bądź daje się drugiej stronie manipulować? Zdaję sobie sprawę, że wchodzę na niebezpieczny obszar ryzykownych uogólnień, na którym tak łatwo o nieporozumienia. Czy jednak trzeba się asekurować oświadczeniem, że ta pisanina wynika z ogromu ufności w polskie społeczeństwo, w słuszność jego ostatecznego wyboru, z wiary w jego mądrość, instynkt narodowy i klasowy. Człowiek może zawieść się na wszystkim: zwątpić w swoją partię, związek, rodzinę, przyjaciół, w sens swojej pracy i działania, ale nie może nigdy uwierzyć, że cały naród nagle zwariował. To retoryka, ale nie tylko...

Powróćmy do przerwanego wątku, do owej drugiej strony medalu. Czy chcemy, jako całe społeczeństwo, żyć w konflikcie? Bzdura. Czy chce tego 9,5 miliona członków „Solidarności"? Bzdura taka sama. Tak, jak prawdą jest, że wielu przywódców „Solidarności" głównie w konfrontacji widzi swą misję do spełnienia. Ich poglądy nie są tajemnicą, nie chcę ich tutaj przytaczać, bo zostały szeroko upowszechnione, I dobrze, niech ludzie patrzą i słuchają i sami wyciągają wnioski. Także nie chcę ich osądzać i dopisywać swoich oskarżeń. Nawet nie posądzam ich o przedwyborcze zagrywki dla zdobycia popularności, czemu zwykle służy pobrzękiwanie szabelką. Nie o to wszystko mi chodzi. Myślę głównie o tym — i stwierdzam to zarówno z niepokojem jak i żalem — że po prostu oderwali się od rzeczywistości, że z mandatu zaufania związkowego uczynili tarczę dla politycznej gry. Gry niebezpiecznej przede wszystkim dla swoich mandatariuszy, bo stawką w tej grze nie jest w gruncie rzeczy kariera tego czy innego działacza, lecz spokój społeczny i nadzieja na przyszłość.

Chcę więc tylko przypomnieć „radykałom" „Solidarności", żeby chodzili po ziemi i przestrzec ich przed popełnieniem błędów, które w przeszłości popełnili działacze mojej partii. Mówienie, że „za nami stoi 9 milionów" przypomina mi butne oświadczenia E. Gierka, że za nim stoi 3-milionowa partia. Wiadomo, jak się to skończyło. Tylko, że wniósłbym jedną poprawkę do znanego porzekadła, że historia dzieje się jako tragedia, a powtarza jako farsa. Tej „farsy" moglibyśmy po prostu nie przeżyć.

Skojarzeń jest więcej, a przede wszystkim liczne przykłady agresywnego reagowania na krytykę, ciągoty do antydemokratycznych, „komisyjnych" decyzji, arogancja w stosunku do partnerów, których z góry ustawia się w pozycji przeciwników. Związek, który powstał z pragnień ludzi pracy o demokracji i tolerancji, jawi się w ten sposób jakąś dziwną hybrydą: połączeniem pięknej frazeologii i często sprzecznej z jej duchem praktyki. W ten sposób w ramach tak potrzebnej rządowi krytyki, w czasie personalnych polemik, które same w sobie mogą być pożyteczne, dochodzi — jak określił to rzecznik prasowy rządu — do „zdziczenia obyczajów". Cała zresztą historia z „dniami bez prasy", nieudzieleniem telewizji akredytacji i wiele innych incydentalnych przykładów dowodzi, że w kierowniczych gremiach „Solidarności" zaczyna obowiązywać reguła, że „każdy, kto nie jest z nami, jest przeciw nam", a kto nawet (chodzi zwłaszcza o dziennikarzy) nie jest naszym apologetą, staje się automatycznie człowiekiem podejrzanym. Nikt mnie nie przekona, że taka postawa nie szkodzi sprawom publicznym, a także samemu związkowi. Tym bardziej, że związek nie jest już oseskiem, jak na zjazdowym płakacie, że nie jest mu już potrzebny ochronny parasol od krytyki, nawet jeśli nie jest ona w pełni zobiektywizowana, a czasami tendencyjna i manipulatorska. Taka przecież „krytyka" — ujając ludzkiej zdolności do oceny zjawisk — nie ma szans zaszczepienia w społeczną świadomość. Czegóż więc się bać!

Rozmawiam z wieloma ludźmi, otrzymuję listy od Czytelników. Słowa, które powyżej napisałem, to również efekt ich niepokojów, tego, co ich denerwuje i bulwersuje, a także pewnego rozdarcia, bo kapitał nadziei związanych z „Solidarnością" jest nadal ogromny. Żeby postawić kropkę nad „i": ale nie wieczny i wyczerpać się może. Ten kapitał jest w rzeczywistości wyłącznie w rękach większości, ona może nim, zgodnie z własną wolą, zadysponować. Jak do tej pory taki dylemat w szerszej skali nie zaistniał, odnotować można tylko jego częściowe objawy. Większość jest bardziej zawieszona w oczekiwaniu, wyważaniu racji, niż pewności, że to tak ma wyglądać nasza przyszłość. Większość milcząca, ale myśląca i czująca. W jej stronę trzeba patrzeć.

UCHWAŁA RADY SDP

Do późnych godzin wieczornych trwało 2 bm. w Warszawie posiedzenie Rady Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które poświęcone było ocenie stanu komunikowania społeczeństwa w Polsce, wypracowaniu stanowiska wobec oświadczenia pięciu przedstawicieli władz Stowarzyszenia z 10 sierpnia br. oraz wobec listu rzecznika prasowego rządu PRL, skierowanego do Rady i ZG SDP oraz Rady i ZO Warszawskiego.

Po wprowadzeniu, dokonanym przez wiceprezesa ZG SDP Macieja Iłowieckiego, w którym przedstawił on stanowisko ZG SDP wobec bieżącego stanu komunikowania społecznego — zawarte w późniejszej uchwale Rady — zabrał głos obecny na posiedzeniu rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Prezentując rządowy punkt widzenia na polityczne aspekty współpracy ze środowiskiem dziennikarskim, stwierdził on, że rząd nie może wypełniać swych zadań bez poparcia społecznego, bez pośrednictwa dziennikarzy. Poddał też krytyce treść oświadczenia 5 przedstawicieli władz SDP z dnia 10 sierpnia oraz niektóre działania podejmowane przez Stowarzyszenie.

Wielogodzinna dyskusja, jaka się następnie wywiązała, dotyczyła w przeważającej mierze głośnej dziś, wywołującej wiele kontrowersji, w środowisku dziennikarskim i w społeczeństwie — treści wspomnianego oświadczenia. Dyskutanci wyrażali różnorodne stanowiska wobec tego dokumentu, jak również wobec listu rzecznika rządu tym oświadczeniem wywołanego. Wielu z nich ostro polemizowało z wypowiedzią J. Urbana. W poszczególnych głosach odnoszono się do zagadnień kierowania środkami masowego przekazu, wskazywano na zjawiska świadczące o zróżnicowaniu poszczególnych grup i jednostek w środowisku dziennikarskim. Podkreślano, że dezinformacja społeczeństwa jest równie niebezpieczna dla społeczeństwa jak i dla władzy.

Przeważał pogląd, że SDP nie jest powołane do oceny każdego zjawiska lub faktu politycznego, lecz że jego zadaniem jest przede wszystkim ochrona zawodu dziennikarskiego i jego społecznej wiarygodności.

Po burzliwej, wielogodzinnej, nacechowanej kontrowersyjnymi wystąpieniami dyskusji, Rada większością głosów podjęła uchwałę, wyrażającą stanowisko wobec poruszanych kwestii.

W podjętej uchwale (28 głosów za i 4 przeciwko) stwierdza się:

Statutowym obowiązkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich jest dbałość o wszechstronne i rzetelne informowanie obywateli przez środki masowego przekazu. Przypominamy raz jeszcze o tym, wobec prób kwestionowania tej naczelnej funkcji statutowej.

Wyrażamy aprobatę dla działalności prezesa i wiceprezesów SDP, Zarządu Głównego, walnych zebrań i zarządów oddziałów, Rady i Zarządu Oddziału Warszawskiego oraz wszystkich koleżanek i kolegów, którzy poczuwają się do współodpowiedzialności za rzetelne informowanie społeczeństwa. Jest to nasze prawo i nasz obowiązek — nałożony na SDP przez uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia. Oświadczenie SDP z 10 sierpnia br. uważamy za wypełnienie tego obowiązku.

Kierując się koniecznością skupienia sił obywatelskich i odpowiedzialności, Rada SDP zwraca się do dysponentów **wszystkich** środków masowego przekazu, w tym rządowych i związkowych, o podporządkowanie się uchwale sejmowej z 10 kwietnia 1981 roku, wzywającej do zaprzestania akcji propagandowych skłócających społeczeństwo. Zwracamy się do dziennikarzy o sprzyjanie wszystkiemu, co buduje zaufanie, łagodzi konflikty i integruje społeczeństwo wokół działań na rzecz wychodzenia z kryzysu. Od Nadzwyczajnego Zjazdu SDP, Stowarzyszenie podejmowało liczne inicjatywy mediacyjne w chwilach ostrych napięć, takich jak sprawa Narożniaka, lutowy strajk drukarzy warszawskich czy konflikt z PLL „Lot". Pragniemy kontynuować tę tradycję i wzywamy jednocześnie do sygnalizowania opinii publicznej wszystkich odstępów od linii porozumienia i dialogu, bez względu na to, kto się tych odstępstw dopuszcza.

Rada Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wyraża przekonanie, że środowisko dziennikarskie nie pozwoli się poróżnić ani z partią, ani z rządem gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ani z ruchem związkowym. Popieraliśmy i popieramy te działania rządu, które służą opanowaniu kryzysu. Uważamy, że bez polityki informacyjnej zgodnej z interesem społecznym wyjście z kryzysu jest niemożliwe.

Uważamy za niezbędne stworzenie takiego modelu funkcjonowania środków społecznej komunikacji, który odpowiadałby zmienionym stosunkom między władzą i społeczeństwem i byłby instrumentem społecznej kontroli. Uchroniłoby to władze i społeczeństwo przed konfliktami w rodzaju „dni bez prasy", przed akcjami ulotkowo-plakatowymi oraz przed zarzutami o niedopuszczaniu liczących się sił społecznych do środków masowego przekazu, zwłaszcza do telewizji i radia. Proponujemy zawarcie w trybie pilnym porozumienia, które uwzględni potrzeby informacyjne społeczeństwa i władzy.

Rada SDP upoważnia Zarząd Główny do odpierania napaści i prób rozbicia Stowarzyszenia. Ostrzegamy przed społecznymi następstwami stosowania represji wobec dziennikarzy odmawiających udziału w manipulacjach propagandowych.

Opublikowanie niniejszej uchwały w jej pełnym brzmieniu będziemy uważali za miernik dobrej woli tych, którzy o tym decydują.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA JACEK INDELAK RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI MAREK MILLER JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

STRAJKI — LATO '80

Dalszy ciąg ze str. 1

dodatku drożyźnianego, cen mięsa, lokalnych spraw socjalnych. Nie ma prób wyjścia poza zakład a rozmowy prowadzone są przez dyrekcję niekiedy z udziałem przedstawicieli wojewódzkiego aparatu partyjnego i resortów.

Kulminacja tego ruchu miała miejsce w Lublinie. W połowie lipca zastrajkowała tam większość zakładów, a także komunikacja miejska.

Organizacja strajku i negocjacje miały charakter wewnątrzzakładowy. 11 lipca powołano komitet strajkowy pod nazwą Komitet Postojowy w Fabryce Samochodów Ciężarowych i żądano w toku negocjacji z ministrem przemysłu maszynowego gwarancji bezpieczeństwa strajkujących. 16 lipca powstaje wspólny dla całego węzła kolejowego komitet strajkowy pod nazwą Przedstawiciele Załóg. „Wysunięto żądania: podwyżki płac o 1.300 zł, rozwiązania Rady Zakładowej i nowych wyborów, podniesienia zasiłków rodzinnych do poziomu takiego jak w MO, wolnych sobót, podobnie jak w innych przedsiębiorstwach ogólnej poprawy zaopatrzenia i specjalnego zaopatrzenia w zakładach pracy, obniżenia wieku emerytalnego dla maszynistów do 55 lat, zakazu wstępu MO i SB do zakładów pracy w czasie trwania strajku, pisemnych gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących" (Tygodnik „Solidarność", nr 15/81).

Strajki w Lublinie zakończyły się około 19/20 lipca po przyznaniu kilkusetzłotowych podwyżek płac.

Jednak fala strajkowa w kraju nie opadła i nie mogła jej zahamować blokada informacji o wydarzeniach. Do 16 sierpnia przeważał typ scharakteryzowany wyżej.

Przełomowe znaczenie miało powołanie w Gdańsku i Szczecinie międzyzakładowych komitetów strajkowych — 16—18 sierpnia.

Trzecia dekada sierpnia to okres intensyfikacji strajków aż do strajku powszechnego w ostatnich dniach sierpnia, przy czym tę ostatnią falę stanowiły strajki solidarnościowe dla poparcia Wybrzeża i akceptujące postulaty Wybrzeża.

Szczególne cechy strajku w Gdańsku i Szczecinie to: okupacyjny charakter, długotrwałość, sformułowanie postulatów politycznych, zorganizowanie międzyzakładowego przedstawicielstwa upoważnionego do formułowania żądań i prowadzenia rozmów z władzami. Faktyczne uznanie strajku przez władze nastąpiło wówczas gdy wicepremierzy rozpoczęli rozmowy z MKS (a nie jak próbowano początkowo oddzielnie w poszczególnych zakładach). Wtedy też właściwie pojawiły się informacje w środkach masowego przekazu, wtedy też uprzednia formuła o „zakłóceniach w pracy" i działalności elementów antysocjalistycznych ustąpiła określeniu: „protest klasy robotniczej".

Nie sposób przecenić znaczenia strajku w Gdańsku i Szczecinie.

Tam ukształtował się program ruchu, wzór organizacji strajku, tam zamanifestował się „sojusz robotniczo-inteligencki" w postaci udziału doradców w negocjacjach, ale też bliskich kontaktów między strajkującymi i gośćmi. Pragnę jednak podkreślić, że w tym czasie międzyzakładowe komitety strajkowe powstały również w innych ośrodkach (np. Wrocław), a zwłaszcza iż powszechny charakter strajków solidarnościowych stanowił nacisk o wielkim znaczeniu.

W ostatnich dniach sierpnia zastrajkowały kopalnie węgla.

Podpisanie porozumień między Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi i przedstawicielami rządu w dniach 30, 31 sierpnia i 3 września zakończyły drugi okres ubiegłorocznego lata. Wśród postulatów jeden zasługuje na szczególne wyróżnienie — wobec tych, które były zgłaszane w kraju jest nowy, choć na Wybrzeżu był odbiciem żądań sprzed 10 lat — mowa o postulacie utworzenia „wolnych związków zawodowych" jak początkowo mówiono.

Po podpisaniu porozumień załogi robotnicze w całym kraju znalazły się w nowej sytuacji. Mogły w oparciu o te porozumienia przystąpić do organizowania nowych związków i konkretyzowania własnych żądań. Jednak sytuacja nie była jasna. Dopiero po pewnym czasie władze centralne zapewniły, że porozumienia odnoszą się do całego kraju (jeszcze w styczniu w sporze o wolne soboty używano argumentu ograniczającego). Jednocześnie w wielu regionach władze lokalne i zakładowe sprzeciwiały się realizacji porozumień, przyczyniając się w ten sposób do nowej fali strajków. Wystąpiły w nich dwa nurty:

— jeden, częsty zwłaszcza w mniejszych ośrodkach i zakładach był spowodowany chęcią przyłączenia się choćby z opóźnieniem do ruchu o tak rozległym i doniosłym charakterze jak również obawą, aby uzyskane w porozumieniach głównych cele nie ominęły danej załogi, aby wreszcie przy tej niejako okazji załatwić sprawy lokalne.

— drugi nurt był spowodowany właśnie oporem władz zwłaszcza wobec prób tworzenia komisji robotniczych. Jeszcze 8 września w WSK „PZL Mielec" w porozumieniu postrajkowym mowa jest jedynie o ponownych wyborach do Rady Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców. Dopiero w końcu września dołączono do porozumienia aneks, tj. postulat utworzenia w zakładzie NSZZ „Solidarność", istniejącego faktycznie jako organizacja ogólnokrajowa od 17 września 1980 r.

Nawet tak krótkie przypomnienie wydarzeń lata 1980 r. pozwala na sformułowanie wniosku: *strajki ogarnęły cały kraj, rozpoczęty się one w sposób żywiołowy, stopniowo przybierając coraz bardziej zorganizowane formy i przedstawiając coraz bardziej dojrzałe i ogólnospołeczne żądania. Kulminacyjne były strajki w Gdańsku i w Szczecinie, tam bowiem sformułowano program nowych związków zawodowych. Jednak strajki poprzedzające kiedy pojawiały się w różnych miejscach i czasie poszczególne elementy 21 postulatów gdańskich odegrały nie mniej ważną rolę.*

2. STRONY KONFLIKTU

Kalendarium strajkowe, przedstawione przed rokiem w „Robotniku", a obecnie w tygodniku „Solidarność", jak również materiały Komisji PTS informują o różnorodności strajkujących zakładów. Na tej liście znajdują się zarówno wielkie kluczowe przedsiębiorstwa jak też mniejsze co do wielkości i znaczenia, z tradycyjnych przemysłowych ośrodków jak też z regionów, w których industrializacja ma świeżą datę, zaś w załodze nie brak chłopo-robotników. *Zasięg strajków był powszechny.* Jeżeli jednak przyjrzeć się bliżej strajkom o wyróżniającym się obliczu (tj. dłuższym, wiodącym w mieście czy regionie, formułującym ponadlokalne postulaty) to okaże się, że *miały miejsce w zakładach o wielkoprzemysłowym charakterze.*

Szczególna rola przypadła ponadto komunikacji miejskiej. Strajk komunikacyjny pociągnął za sobą przerwanie pracy w innych fabrykach, oddziaływał silnie na codzienne życie, unaoczniał powszechność ruchu, zapoznawał opinię społeczną z postulatami robotniczymi.

W zakładach strajkowali wszyscy robotnicy, jednak w powszechnej opinii *szczególną aktywność wykazywali robotnicy młodzi, wykwalifikowani, a więc również — wykształceni.* W komitetach strajkowych przeważała również ta kategoria, jednak raczej trzydziesto- lub dwudziestolatki. *Strajki okresu późniejszego, tj. z końca sierpnia i początku września znalazły również poparcie pracowników inżynieryjno-technicznych z różnych służb w zakładach strajkujących. W okresie wcześniejszym strajkowali sami robotnicy.*

Przełom pod tym względem jest związany z powszechnością i ponadzakładową organizacją na Wybrzeżu i przyjmowaniem tego wzoru w innych regionach. *Fabryki, w których przeważają kobiety również znajdują się na liście strajkujących, jednak mniej licznie.*

Organizacja tych załóg nie wyróżniła się niczym, poza tym, że kobiety choć liczne w załodze, okazały się w mniejszości w komitetach strajkowych i wśród negocjatorów.

Można zatem stwierdzić, że strajkowali robotnicy o zróżnicowanych cechach społeczno-zawodowych, wśród nich zaś swoją aktywnością wyróżniali się młodzi, wykwalifikowani, z wykształceniem zawodowym i technicznym. O tej kategorii robotników, częstokroć związanych z nowoczesnym przemysłem mówi się za *S. Halletem nowa klasa robotnicza.* Obok wymienionych już cech, odznacza się ona silniejszymi niż w innych grupach robotniczych potrzebami w zakresie kontroli swego środowiska pracy i uczestnictwa w zarządzaniu.

Poparcie ze strony młodych techników i inżynierów nie należących do kierowniczej hierarchii taką charakterystykę potwierdza.

Poparcie dla strajku w Gdańsku w końcu sierpnia zamanifestowali intelektualiści — literaci, naukowcy, dziennikarze. Zapoczątkowało to udział i działalność ekspertów, co miało wielkie znczenie dla negocjacji i kształtu porozumienia końcowego.

Wzór ten odnajdujemy we Wrocławiu, w słabszym stopniu — w Szczecinie, zaś zamknięcie się i nieufność — w innych ośrodkach. Dopiero w trakcie tworzenia komitetów założycielskich „Solidarności", we wrześniu ten robotniczy charakter strajku ulegnie zmianie na rzecz większego udziału pracowników umysłowych (w fabrykach i w regionalnych MKZ). Wśród strajkujących (a przeważnie były to całe załogi) byli również członkowie PZPR. Byli oni również choć zapewne w mniejszej proporcji — zaangażowani w organizacji strajku.

Drugą stroną konfliktu było kierownictwo administracyjne i polityczne.

W początkowej, organizacyjnej fazie strajku mistrzowie, kierownicy, funkcjonariusze partyjni i związkowi perswadowali robotnikom przerywanie pracy. W fazie następnej — w wielu przypadkach właśnie mistrzowie „spisywali" postulaty zebranej załogi. Rozmowy prowadził dyrektor bądź przedstawiciele ministerstwa i władz wojewódzkich.

Sekretarze komitetów zakładowych i egzekutyw organizacji partyjnych uczestniczyli niekiedy w rozmowach po stronie dyrekcji, niekiedy zachowywali postawę bierną, rzadziej brali udział w strajku. Zdecydowanie negatywną postawę wobec strajku odnotowaliśmy u działaczy związkowych.

Tak więc „druga strona" jest określona dość wyraźnie — przeważnie jest to kierownictwo, przy czym zaliczyć już do niego można często mistrza, działacza rady zakładowej i sekretarza organizacji partyjnej. Jednak nawet w czasie strajków lipcowych, zwłaszcza zaś w sierpniu i wrześniu o realizacji głównych postulatów mógł decydować przedstawiciel władz centralnych. Nawet więc wówczas gdy strajk był „zamknięty" w obrębie zakładu — przedstawicielem pracodawcy był delegat rządu i partii. Nadawało to konfliktowi charakter polityczny.

Władze centralne pragnęły utrzymać pokój społeczny i usilnie lokalizowały wystąpienia robotników, zgadzając się na większość postulatów dotyczących norm, spraw socjalnych a także płacowych. Tak było w lipcu/sierpniu. Wobec strajków na Wybrzeżu i powstania międzyzakładowych komitetów strajkowych zachowały inną postawę. Jeszcze 20 sierpnia w liście KC PZPR mówiło się o działaniach wrogich, antysocjalistycznych, kontrrewolucyjnych, aby po kilku dniach uznać zasadność robotniczego protestu i przystąpić do negocjacji. Jednocześnie służba bezpieczeństwa w rozmaity sposób nękała aktywistów strajkowych i osoby wspomagające. W wielu zakładach próbowano przy pomocy różnych manipulacji dezorganizować akcję robotników, np. tworząc „konkurencyjne" komitety, informując inne wydziały o zakończeniu przerwy w pracy, odwiedzając rodziny strajkujących itp. Ze względu na te właśnie fakty strajkujący przywiązywali tak wielką wagę do łączników i informacji oraz do zawarcia w porozumieniu końcowym gwarancji bezpieczeństwa.

Sam strajk był aktem przezwyciężenia lęku, jednak przez czas jego trwania poczucie zagrożenia było silne. Bo też końcowe porozumienia — zarówno te ogólne i znane — w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, jak i dziesiątki innych o zasięgu lokalnym — nie były łatwe do osiągnięcia, realizacja ich była zamierzonym efektem negocjacji. Porozumienia osiągano pod wpływem nacisku, determinacji strajkujących w zakładzie x, y i wkrótce w całym kraju — wbrew chęci władz.

3. ORGANIZACJA STRAJKU

Z wszystkich zebranych przez komisję opisów przebiegu strajków, jak też znanych opisów dziennikarskich wyłania się taki oto obraz: robotnicy pojedynczy nie podejmują pracy, zbierają się w grupkach dyskutując o podwyżce cen, o tym, że podobno w jakichś innych zakładach strajkują, bądź że w wyniku strajku uzyskano podwyżkę. Rozmowy stają się ogólne, mistrzowie i kierownicy próbują nakłonić do pracy, przywołują w tym samym celu zwierzchników.

W zależności od przebiegu tych rozmów i od wyłonienia się przywódców, bądź formułuje się postulaty dla ich przedstawienia dyrekcji, bądź też postanawia „stanąć" i wybiera przedstawicieli dla rozmów, niekiedy dla poprowadzenia strajku.

Podstawowymi elementami organizacji strajku jest więc:

— sposób podjęcia decyzji o strajku,

— wyłonienie przywódców i utworzenie formalnego komitetu,

— ustalenie trybu negocjowania,

— ustalenie sposobu strajkowania.

Przebieg wydarzeń wskazuje na ich spontaniczność. W lipcu/sierpniu do odnotowanych wyjątków należy utworzenie komitetów strajkowych (postojowych) — niechętnie nawet chce się wysuwać delegatów do rozmów.

Przywódcy to ci, którzy najskładniej mówią, wiedzą czego chcieć, potrafią zaproponować procedury.

Wybór reprezentantów polega raczej na ich zgłoszeniu się, na ich wcześniejszej „widzialności" w dyskusjach o nieformalnym charakterze.

Latem 1980 roku przestrzegano ściśle i powszechnie, aby protest miał miejsce wewnątrz murów zakładu. Był to wynik doświadczenia 1956, 70, 76 roku. Jednocześnie jednak, wzorem 1970/71 roku *dążono do kontaktów z innymi załogami i do nadania własnemu strajkowi większej mocy przez powołanie międzyzakładowego komitetu strajkowego.* Uważam ten element organizacji za niezmiernie istotny.

Żywiołowy początek strajku ma wpływ na ustalenie sposobu strajkowania. Przeważnie było tak, że *przychodzono do pracy i wychodzono po 8 godzinach, siedząc koło swego stanowiska,* dyskutując, słuchając wiadomości o rozmowach lub uczestnicząc w nich. Obok tej formy; wystąpiły inne manifestacje solidarności — *oświadczenia ostrzegające o gotowości do podjęcia strajku* (np. „Cegielski"), *wywieszanie flagi państwowej, organizowanie zebrań negocjacyjnych.*

Najbardziej „ostry" jest strajk okupacyjny, kiedy strajkujący nie opuszczają zakładu. Taką właśnie formę wybrano w stoczniach Gdańska i Szczecina. Organizacja strajku okupacyjnego wymaga wielkiej dyscypliny, utworzenia różnorodnych służb, zwłaszcza zaś porządkowych. Zakończenie strajku w Szczecinie znane nam z telewizji, uwzględniało m.in. akt przejęcia zakładu od komitetu strajkowego przez dyrektora. Nadano w ten sposób pewną formę aktowi zakończenia a więc i rozpoczęcia strajku, podkreślając zarazem przejęcie odpowiedzialności za zakład przez strajkującą załogę.

Wielkie znaczenie w dłuższych i późniejszych strajkach miała organizacja informacji i łączności, zarówno wewnątrz zakładu, jak też z innymi zakładami. Wszędzie napotykano trudności z dostępem do radiowęzła, urządzeń poligraficznych, nawet telefonu. Również łącznicy często musieli wymykać się uwadze SB.

Wypracowane w Gdańsku sposoby działania stanowiły wzór przestrzegany później w wielu innych przypadkach.

Te wzory działania strajkowego — reguły strajkowe — powstawały w oparciu o aktualne potrzeby i możliwości oraz o doświadczenia poprzednich akcji protestacyjnych. Były dla strajku niezbędne ze względu na jego wewnętrzną organizację i zdolność działania, integrowanie załogi i utrzymywanie demokracji bezpośredniej, legitymizacją wobec załogi i wobec władz.

Reguły strajkowania służyć miały efektywności akcji, ale też przełamaniu poczucia zagrożenia.

Wzory — jak już mówiłam — pochodziły często z zapamiętanych dawniejszych doświadczeń. Wydaje się, że znajdują tu też odbicie przekazy historyczne, znane z lektury i filmu; odnoszące się do strajków i demonstracji robotniczych bądź powstań narodowych. Dla strajków końca sierpnia pewną rolę odegrała ulotka „Robotnika" z 15 sierpnia 1930 r. pt. „Jak strajkować", dla strajków wrześniowych — wzór Wybrzeża, który rozpowszechnili wczasowicze i specjalni wysłannicy strajkujących.

W tworzeniu i utrwalaniu reguł strajku wypada odnotować rolę symboli. Wiele na ten temat mówiono i pisano powołując się na przebieg strajku w Stoczni Gdańskiej. Zwracano więc uwagę na *wyparcie haseł, pieśni i sztandarów należących do tradycji rewolucyjnej na rzecz symboli narodowych i religijnych.* Dodajmy swoiste stoczniowe jak zastosowane nazwy komitetu, podział ról w MKS, podkreślanie zwracania się przez „pan". Strajk gdański wcześnie otrzymał plakat, godło a także własną poezję i ballady. Wzbogacenie reguł strajkowania przez tę różnorodną symbolikę służyło integracji załogi, oddalaniu lęku, ekspresji siły strajku, łączności z ludźmi za bramą, nadaniu wyższego znaczenia i celu niż przyziemne niekiedy postulaty lokalne.

Tak interesujące formy aktywności strajkujących w Gdańsku prawie nie wystąpiły w innych miejscach poza symboliką narodową.

Na oddzielne omówienie zasługuje sposób negocjowania. Jak już mówiłam przygotowanie postulatów odbywało się już po rozpoczęciu strajku. Strajk nie był elementem negocjacji, ich podjęcie było skutkiem strajku. W większości przypadków rozmowy prowadzili reprezentanci załogi z kierownictwem zakładu, w wielu przypadkach z przedstawicielami władz zwierzchnich. W końcu sierpnia i we wrześniu było to regułą. Upominano się o jawność rozmów, osiągano to jednak w późniejszej fazie ruchu.

Sposób formułowania porozumienia był zróżnicowany. Albo pisano postulat i uzgodnioną odpowiedź władz, albo też zapis był wzorowany na znanym z lat poprzednich tabelarycznym wyjaśnieniu kto i kiedy dany postulat ma zrealizować. W takim przypadku kierownictwo zakładu chętniej stosowało określenie „wnioski załogi", tak jak było to przyjęte w okresie dyskusji przed VIII Zjazdem PZPR. Eksperci odegrali istotną rolę w Gdańsku, w czasie letnich strajków, nie uciekano się do ich pomocy. Stało się to regułą w MKS-MKZ we wrześniu, w okresie tworzenia NSZZ „Solidarność".

Wiele uwagi poświęcono ostatnio językowi informacji i negocjacji, podkreślając odrzucenie utartych sposobów wypowiadania się o sprawach pracowniczych i obywatelskich. Bez wątpienia jest to ocena uzasadniona wobec Gdańska czy Szczecina, lektura postulatów i protokołów porozumienia pochodzących z całego kraju pokazuje, że formułowano je często właśnie w utrwalony „oficjalno-fabryczny" sposób, co najwyżej wzmacniając nacisk przez używanie zwrotu: „żądamy".

Reguły strajkowania rzadko były tak całościowo określone i ukształtowane jak opisane wyżej. Wiele stosowanych form w późniejszych strajkach ma swoje początki w strajkach letnich. W każdym razie ich analiza pokazuje wyłanianie się organizacji o bogatych treściach integracyjnych z żywiołowego protestu.

4. POSTULATY JAWNE I UKRYTE

Przyjęte klasyfikacje postulatów i żądań strajkowych odnoszą się do takich kategorii jak:

— ekonomiczne (płacowe),

— socjalne, tj. warunki pracy i zaopatrzenia,

— polityczne, jak sprawa cenzury, więźniów politycznych.

Z punktu widzenia tej klasyfikacji większość postulatów koncentrowała się na sprawach płacowych i socjalnych. Pojawianie się postulatów politycznych traktujemy jako istotny czynnik dojrzewania strajkujących załóg.

Jednakże dobrze znany w badaniach nad strajkami (zwłaszcza „dzikimi") jest fakt niejednoznaczności celów akcji, odczytywanych w postulatach.

W grę wchodzi przecież umiejętność artykulacji rzeczywistych dążeń i interesów a także możliwość ich konkretyzowania w warunkach fabryki.

Trzeba ponadto podkreślić, że żywiołowy początek strajku — decyzja o jego podjęciu i towarzyszące temu napięcie emocjonalne również ułatwiły formułowanie postulatów. Pierwotny był protest, odrzucenie dotychczas stosowanych sposobów przedstawiania spraw załogi. *Postulaty stanowiły raczej uzasadnienie strajku niż jego przyczynę.* Oczywiście ogromne listy postulatów odnoszących się do płac (nie tylko podwyżek „lecz także uproszczenia systemu płacowego) oraz do warunków pracy wskazują na nieefektywność dotychczasowego regulowania tych żywotnych dla pracowników spraw. Należy na tę listę popatrzeć jak na konkretyzację bardziej ogólnych „ukrytych' 'rewindykacji skierowanych przeciw autorytaryzmowi i biurokracji, wypaczeniom organizacji życia społecznego.

Powszechne zaakceptowanie idei nowego niezależnego związku zawodowego wyraża ten charakter żądań robotniczych szczególnie wyraźnie. Daje się tu zauważyć odrzucenie dotychczasowych instytucji jako niesprawnych i nieautentycznych; swoiste połączenie oczekiwań związanych z najbliższym środowiskiem pracy i tych, które odnoszą się do sytuacji i roli obywatela, patrioty. Uzasadnienie dla rewindykacji znajdowano w znanych przecież dobrze programowych zasadom socjalizmu. Słusznie mówiono, iż rewindykowano socjalizm. I wreszcie w „ukrytej" warstwie postulatów dostrzec można poszukiwanie podmiotowości i godności, autentyczności działań i tożsamości społecznej zawartej w haśle Solidarność.

5. UWAGI KOŃCOWE

Socjologiczne analizy konfliktu w przemyśle, strajków i przetargów nie mają w Polsce zbyt wielu osiągnięć. Zawsze temat ten stanowił tabu dla badań i publikacji. Zresztą interpretacje w kategoriach konfliktu między pracodawcą i pracobiorcą nie wyczerpują sprawy w odniesieniu do polskich warunków.

Polityzacja konfliktu lata 1980 r. jest oczywista, bowiem w roli pracodawcy występuje państwo, stroną w konflikcie są przedstawiciele władzy państwowej, bowiem postulaty strajkujących — i jawne i ukryte — skierowane są przeciw dotychczasowej organizacji życia społecznego (za którą odpowiedzialność ponosi wyobcowany aparat biurokratyczny).

Temu odrzuceniu dawnych struktur (na co zresztą od lat wskazywało wiele naszych badań) towarzyszy poszukiwanie i odradzanie autentycznych więzi.

W kształtowaniu się nowego poczucia wspólnoty istotną dla każdej załogi rolę odegrał strajk.

JOLANTA KULPIŃSKA

SPOSÓB NA SPEKULACJĘ?

Dalszy ciąg ze str. 1

STANISŁAW ZIMOCH: — Możemy znaleźć bardziej rażące przykłady towarów produkowanych w kraju i sprzedawanych po nadmiernie wysokich cenach, na przykład Fiat 126p. Z tym, że pamiętajmy, iż państwo przeznacza taki, choćby nawet nadmierny zysk na cele ogólnospołeczne.

MIROSŁAW OLCZYK: — Chciałbym zacząć od rozważań ogólniejszej natury. Mówiono już o tym, że obecny projekt aktu prawnego nazwanego ustawą o zwalczaniu spekulacji jest chronologicznie piątym z kolei, nie licząc uregulowań w kodeksie karnym. Mamy więc do czynienia z całą lawiną aktów prawnych. Nasuwa się zatem pytanie: czy spekulacja nie jest rakowatą narośla na naszym organizmie społecznym? A jeśli tak, to czy jedynym remedium powinien być lancet chirurga? Przydałyby się bardziej kompleksowe posunięcia. Bo jako praktycy prawa możemy stwierdzić, że widocznie te wszystkie uregulowania nie zdały egzaminu, skoro zachodziła potrzeba ich ciągłej zmiany. A samo zjawisko spekulacji i działań przestępczych przeciw interesom konsumenta nie zniknęło. To pobudza do pesymistycznej refleksji. Pogłębia ją doświadczenie płynące z praktyki trzydziestu lat, a ja w tej praktyce mam swój udział, że instrument prawa karnego nie zdał egzaminu. Wiemy, że represjonowanie w tych sprawach jest potrzebne, ale w systemie środków ochronnych ma ono trzeciorzędny charakter.

Nasuwa się wniosek, że skoro zjawisko spekulacji jest trwałe, to istnieją sprzyjające mu warunki społeczno-ekonomiczne, a nawet psychologiczne. Projekt ustawy bije w szczególności w pracowników handlu oraz w całą grupę nieprzezeczyjnie określonych spekulantów, ale aby kwitła spekulacja musi istnieć sprzyjający klimat społeczny. Rodzi się pytanie: czy matka, która nabywa na bazarze mleko w proszku, którego nie może dostać w handlu uspołecznionym po zwykłej cenie, staje się tym samym pomocnikiem spekulanta? Utarło się przecież potoczne powiedzenie, że nie ma złodzieja, kiedy nie ma pasera. Nie będzie spekulantów, kiedy nie będzie ludzi, którzy im w tym procederze mimowiednie pomagają. A są sytuacje, kiedy ludzie są zmuszeni do korzystania z usług spekulanta, działając niejako w stanie wyższej konieczności. Nie potępiajmy zbyt pochopnie matki, która nabywa od paskarza mleko w proszku, aby nakarmić dziecko. Nie potępiajmy samych siebie kupując na bazarze żyletki, żeby się ogolić.

STANISŁAW ZIMOCH: — Tragedia polega na tym, że formalnie rzecz biorąc taką matkę można będzie pociągnąć do odpowiedzialności karnej, jeśli to mleko będzie uzyskane z czynu niedozwolonego, a więc na przykład z naruszeniem przepisów o zaopatrzeniu.

— Chcę tu zwrócić uwagę na doniosły moment. Czyny na ogół dlatego są zabronione przez prawo, że spotykają się z potępieniem i niechęcią społeczną. Jeśli zaczniemy przyzwyczajać społeczeństwo, że prawo ściga czyny nie wywołujące sprzeciwu moralnego, to podważymy cały nasz system prawny.

MIROSŁAW OLCZYK: — Niebezpieczeństwo polega na tym, że doraźna korzyść, i to moim zdaniem, korzyść pozorna, może na dłuższą metę spowodować nieodwracalne skutki: inflację przepisów, inflację zagrożenia i inflację postaw. Cały system prawa, który ma pełnić funkcje nie tylko ochronne, ale także wychowawcze, staje się w ten sposób nieskuteczny. Bo ustawa ustawą, prawo prawem, a życie życiem. I wtedy rodzi się filozofia: przepis jest niemoralny, więc nie muszę się do niego stosować.

Jestem przeciwko ustawodawstwu epizodycznemu, a ten projekt ma taki charakter. Wyrażam pogląd, pewnie obrazoburczy dla autorów projektu, że chodziło tu o danie dowodu amorficznie określonemu społeczeństwu, że coś się w zakresie spekulacji robi. Chodziło o skanalizowanie niezadowolenia społecznego i uczynienie odpowiedzialnym za te nastroje organów ochrony prawnej. Bo jeśli spekulacja będzie trwała nadal, to będzie się mówiło, panie sędzio: a, bo to sądy źle pracują, dają za niskie wyroki. Jeśli publicysta „Życia Warszawy" stwierdził żartobliwie, że nie potrzeba jeszcze wprowadzać kary śmierci za spekulację, to szary przechodzień może wziąć tę cierpką uwagę serio. Może się zrodzić przekonanie, że gdyby spekulacja była karana na gardle i to w drodze publicznych egzekucji, to ludzie z inwencją wyrzekliby się tego procederu.

— Moim zdaniem nadmierna penelizacja przestępstwa spekulacji może zrodzić groźbę szantaży. Spekulant będzie żył w symbiozie z wyzyskującym go szantażystą, a za wszystko zapłaci zwykły człowiek. Widzę tu zagrożenie ważniejsze z moralnego punktu widzenia niż zagrożenie dóbr, które chcemy chronić.

MIROSŁAW OLCZYK: — Osobiście uważam, że wniesienie tego projektu jest wyrazem braku zaufania do reformy gospodarczej. Reformę zawsze można obciążyć przecież grzechem śmiertelnym niezrealizowania zgodnie z intencjami projektodawcy. Ten akt może autentycznie utrudnić jej wprowadzenie. Uważam także, że jest on dowodem braku zaufania do prokuratury i wymiaru sprawiedliwości.

STANISŁAW ZIMOCH: — Owszem, gdyby chodziło tylko o podwyższenie sankcji. Trudno jednak mówić o braku zaufania w tych wypadkach, gdy mamy do czynienia z działaniami ludzi nie objętymi dotychczas przez prawo.

MIROSŁAW OLCZYK: — Mogę się założyć, że życie wniesie za parę miesięcy nowe stany faktyczne i w ślad za nimi pojawi się nowy projekt ustawy. Potem zaistnieją kolejne kombinacje i co? Znów nowy projekt? To jest wyrazem instrumentalnego traktowania prawa, obliczonego na doraźne efekty.

STANISŁAW ZIMOCH: — Ale w związku z tym, co pan powiedział, trzeba zdać sobie sprawę, iż nikt nie przypuszcza, że wprowadzenie reformy gospodarczej od razu doprowadzi do zapełnienia półek w sklepach.

MIROSŁAW OLCZYK: — Na pewno.

STANISŁAW ZIMOCH: — Musi upłynąć wiele czasu, zanim coś się zmieni. Chyba, że ceny zostaną podniesione tak wysoko, iż nikogo nie będzie stać na zakup jakichkolwiek towarów. Ale wróćmy do projektu ustawy. Przyjmuje się go z mieszanymi uczuciami. Bo w końcu, w mniejszym lub większym stopniu, spekulacja dziś istnieje. I jest na pewno zjawiskiem niepożądanym.

— Przepraszam, że przerywam, ale ona istniała już dawniej tylko dotyczyła na przykład mebli czy wysokiej klasy radioodbiorników.

STANISŁAW OLCZYK: — Tak, zmieniał się przedmiot spekulacji, ale zjawisko istniało.

STANISŁAW ZIMOCH: — Ono pojawiło się wówczas, gdy miało pożywkę w postaci braku określonych asortymentów towarów. Kiedy zaopatrzenie jest dostateczne, spekulacja sama umiera. Ale czy dziś ma pozostać zupełnie bezkarna? Chyba nie. Musi być uznana za przestępstwo, nie może być jedynie wykroczeniem. Trzeba sobie jednak powiedzieć, że wejście w życie takiej czy innej ustawy, zastosowanie surowszych czy łagodniejszych kar, nawet przyjęcie, że określone zachowanie stanowi przestępstwo a nie wykroczenie, nie podziała jak różdżka czarodziejska. Spekulacja przecież nie ustanie. Zmienią się tylko jej formy. Z dzisiejszego piedestału oficjalności zejdzie do podziemia. Przecież ten, kto zdecyduje się nabyć towar u spekulanta, nie będzie zainteresowany w tym, żeby ten fakt ujawnić, będzie zadowolony, że w ogóle nabył poszukiwany towar.

MIROSŁAW OLCZYK: — Wracam do tego z uporem maniaka, bo jestem przekonany, że za pół roku jakaś komisja sejmowa będzie dyskutowała nad nowym projektem ustawy antyspekulacyjnej. Wprowadzi nowych osiem stanów faktycznych, nowych występków i jeszcze ileś nowych wykroczeń. To będzie pociągało za sobą inflację aktów prawnych.

STANISŁAW MAURER: — Jeśli idzie o struktury administracyjne, które wprowadza projekt ustawy, to nie mam wyrobionego zdania. Myślę o tych komisjach do walki ze spekulacją. Bo zastanawiam się jednocześnie nad celowością wprowadzenia tej ustawy z punktu widzenia prawa administracyjnego i karnego materialnego oraz procesowego. Można uznać, że obecnie w prawie materialnym są luki. Pojawiły się pewne nowe sytuacje życiowe, które wymagają penalizacji i które nie są objęte kodeksem karnym. Sądzę jednak, że przy starannym przygotowaniu można po prostu uzupełnić kodeks karny lub prawo o wykroczeniach. Nie wypowiadam się tutaj na temat celowości tych zabiegów, tylko samej techniki ustawodawczej. Jestem w ogóle zdecydowanym przeciwnikiem łączenia norm prawa karnego i prawa administracyjnego w jednym akcie prawnym. W żadnym jednak wypadku nie powinno być penalizacji tam, gdzie nie ma działania w celu osiągnięcia korzyści majątkowej czy osobistej. Taka penalizacja jest moim zdaniem zupełnie zbyteczna.

STANISŁAW ZIMOCH: — Ale rozważmy tę propozycję, panie mecenasie, na konkretnym przykładzie. Niech to będzie wiejski sklep do którego przywieziono 50 kg sera. Gdyby sprzedawać go po pół kilo, starczyłoby go dla 100 osób. Wyobraźmy sobie, że sprzedawczyni, wbrew zarządzeniu swoich przełożonych, sprzedaje znajomym po 2 kg tego sera. Korzyści majątkowej nie ma, osobistej także. Po prostu sprzedawczyni wie, że nie ma w okolicy masła, nie ma wędliny, więc 2 kg dla jednej osoby to wcale nie jest za dużo.

MIROSŁAW OLCZYK: — Albo wyobraźmy sobie, że zbywa ten ser hurtem dla domu starców czy dziecińca.

STANISŁAW ZIMOCH: — To już jest inna kwestia, bo takie placówki zaopatrują się na zasadzie przydziału. Ale wracając do przykładu: czy prawo ma w tym przypadku wcale nie reagować, skoro nie było korzyści majątkowej ani osobistej? Ale fakt, że mniej osób mogło się zaopatrzyć jest bądź co bądź czynem negatywnym. Ja nie twierdzę, że należy uważać go za przestępstwo, ale coś z tym fantem trzeba przecież zrobić.

MIROSŁAW OLCZYK: — Czy nie wystarczy zwolnić taką ekspedientkę z pracy? Po co tu angażować aparat sprawiedliwości?

— Sądy się po prostu zatkają.

MIROSŁAW OLCZYK: — No, ma być przecież tryb przyspieszony.

STANISŁAW MAURER: — W tej dyskusji pociąga mnie najbardziej możność zaprotestowania przeciwko trybowi przyspieszonemu.

STANISŁAW ZIMOCH: — Dziś wiemy, że jest spekulacja, że są naruszane normy artykułu 221 i 222 kodeksu karnego w szczególności, a spraw nie ma tak wiele.

— Panie sędzio, ale jest taka kwestia. Przecież projekt przewiduje, że jeżeli wartość towaru przekracza dwa tysiące złotych, to sprawa kwalifikuje się do sądu. Przy inflacji wcale nie jestem pewien, czy takiej wartości nie osiągnie wkrótce pudełko zapałek, zwłaszcza że minister Krasiński zaczął z zapałem wprowadzać swoje u'epszenia. Był już w Polsce taki okres w latach dwudziestych, że znaczek na list kosztował 2,5 mln marek.

MIROSŁAW OLCZYK: — Maria Antonina powiedziałaby w takim wypadku: niech nie palą zapałek, tylko zaopatrzą się w zapalniczki.

STANISŁAW MAURER: — Organa ścigania prawie przez pół roku przyglądały się bezczynnie temu, co dzieje się na rynku. Skąd bierze się teraz ten pośpiech?

STANISŁAW ZIMOCH: — Uwaga pana Frejdlicha jest słuszna, ale dotyczy czego innego. Widać tu, że ustalenie pewnych progów wcale nie rozwiązuje kwestii. Ten sam czyn, który jest wykroczeniem, od pewnej wartości staje się — przestępstwem. Rozwiązanie w projekcie nie jest więc najszczęśliwsze dzisiaj, kiedy wszyscy oczekują tego, co się nazywa tak ładnie regulacją cen.

STANISŁAW MAURER: — W nawiązaniu do tego, o czym tu mówiliśmy, w dziedzinie prawa karnego nie widzę potrzeby wprowadzenia nowego aktu prawnego zwalczającego spekulację, a przepisy procesowe proponowane przez ten akt uważam za sprzeczne z Konstytucją, zobowiązaniami międzynarodowymi wynikającymi z ratyfikacji przez Polskę w 1977 r. międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych. Konkretnie narusza art. 9, 10 i 14 paktu. Jednym słowem uważam projekt za społecznie szkodliwy.

HALINA LATECKA: — Wracam do myśli jeszcze wcześniejszych. Wydaje mi się, że sprzeczność między normami moralnymi a normami prawa w projekcie ustawy wynika stąd, że spekulacja jest tylko pewnym nowotworem na systemie organizacji społeczeństwa. Obiektywnie bowiem jest przejawem żywiołowego działania praw ekonomicznych. I z tego względu to co ją hamuje, nawet ze słusznych względów, jest często niezdrowe dla praw rynku. Czy można więc karać ludzi za to, że uwierzyli w prawa ekonomiczne. Człowiek dlatego kupuje po wygórowanych cenach, wbrew własnej kieszeni, że jest czegoś za mało. Działają normalne prawa popytu i podaży. Tylko, że to przy okazji dezorganizuje rynek. A więc aby zabezpieczyć prawa społeczne stwarza się pewne bodźce organizacyjne działające hamująco.

STANISŁAW ZIMOCH: — Trzeba powiedzieć, że spekulacja pogłębia ten niedoskonały system dystrybucji.

— Wydaje mi się, że znacznie niebezpieczniejszy od detalisty jest hurtownik. Znane są wypadki, że konwojent nie dostarcza do sklepu towaru, przywozi natomiast fakturę i pieniądze.

HALINA LATECKA: — A co robić, gdy ktoś sprzedaje po wyższej cenie własną wódkę?

STANISŁAW MAURER: — Na przykład po to, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić także po wyższej cenie odżywkę dla dziecka?

STANISŁAW ZIMOCH: — Przykład z alkoholem nie jest szczęśliwy, ponieważ sprzedaż alkoholu jest w ogóle zabroniona bez wymaganego zezwolenia. Odpowiedzialność karną przewiduje ustawa o zwalczaniu alkoholizmu. Ale weźmy przykład papierosów.

— Skomplikuję to trochę. Jak zakwalifikować takie zachowanie, gdy ktoś sprzedaje swoją kartkę na alkohol i papierosy?

STANISŁAW ZIMOCH: — Projekt ustawy nie przewiduje w tym wypadku odpowiedzialności karnej, chyba że ktoś wszedł w posiadanie kartki nielegalnie, w drodze czynu niedozwolonego. I ja tu widzę pewną lukę. Powinno być objęte ustawą także wykupywanie kartek w celu nabycia towaru, który następnie będzie odsprzedawany z zyskiem.

MIROSŁAW OLCZYK: — Mówiłem już, że jak posiedzimy tu dłużej, to wylmyślimy jeszcze parę stanów faktycznych, które uznamy za niedostatek projektu. Po prostu życie doprowadzi do tego, że formy spekulacji będą się zmieniały, będą przybierały dziesiątki różnych postaci zjawiskowych i znowu zajdzie za jakiś czas potrzeba wymyślenia nowego aktu prawnego.

STANISŁAW ZIMOCH: — Albo też zgodzimy się, że pozostaną one poza sferą prawa karnego.

MIROSŁAW OLCZYK: — Ja myślę, że wypadałoby tę część naszej dyskusji podsumować w ten sposób, że nie zachodzi potrzeba żadnego nowego aktu prawnego zwalczającego spekulację.

STANISŁAW ZIMOCH: — Ja też w zasadzie uważam, że wydanie nowego aktu prawnego wcale nie jest nieodzowne.

MIROSŁAW OLCZYK: — Wydanie nowego aktu prawnego rodzi niebezpieczeństwo kolejnych nowelizacji, albo nowych aktów prawnych choćby dlatego, że życie będzie wzbogacać spekulację o dziesiątki nowych form. Prawo zawsze będzie się spóźniać. Ten projekt jest dla mnie wyrazem postępującej penalizacji życia społecznego, wzrostu represyjności prawa karnego. I ten projekt odstaje jakby od tych generalnych założeń, które przecież pan, panie sędzio, realizuje w komisji ustawodawczej Ministerstwa Sprawiedliwości w celu gruntownego przebudowania prawa karnego materialnego i procesowego. Tendencją ogólną, która miała towarzyszyć tej reformie było deklarowane tylekroć zmniejszenie represyjności prawa. Jest to zresztą zgodne z teorią i praktyką prawa na całym świecie. Tymczasem robi się nowy akt prawny o cechach potworka, przekreślający wszystkie dążenia nad którymi od dawna pracujemy choćby w ośrodku inicjatyw społecznych w Krakowie. Nie wpominam już o trybie przyspieszonym, bo trzeba mu poświęcić osobną część dyskusji. Wydaje mi się, że projekt ustawy antyspekulacyjnej jest wyrazem zbytniego zaufania ustawodawcy do prewencji ogólnej: surowa i natychmiastowa represja, wobec tego powieje groza i społeczeństwo się przestraszy. A społeczeństwo się wcale nie przestraszy. Społeczeństwo się przyzwyczai, bo są określone progi wytrzymałości, których przekraczać nie wolno.

STANISŁAW MAURER: — I ja odnoszę wrażenie, że projekt ustawy idzie w odwrotnym kierunku niż wielokrotnie deklarowana przez ministerstwo zasada depenalizacji i zmniejszenia represyjności. A ponieważ uważam, że roztrząsanie tego czy do kodeksu karnego powinny wejść nowe przepisy, przekracza ramy możliwości naszej dyskusji, zajmę się kwestiami proceduralnymi, które mnie, jako obrońcę, interesują szczególnie.

Nie ulega wątpliwości, że tryb przyspieszony jest w ogóle przekreśleniem zasady równości wobec prawa. Rodzaj popełnionego czynu nie może decydować o gwarancjach procesowych, to dwie różne sprawy. A jeśli spojrzeć na to zagadnienie z punktu widzenia obrońcy, eksponują się następujące problemy. Po pierwsze, w myśl projektu o postawieniu przed sądem decyduje nie prawnik-prokurator, tylko funkcjonariusz milicji.

MIROSŁAW OLCZYK: — Albo PIH.

STANISŁAW MAURER: „Można uznać, że obecnie w prawie materialnym są luki".

HALINA LATECKA: „Człowiek dlatego kupuje po wygórowanych cenach, wbrew własnej kieszeni, że jest czegoś za mało".

STANISŁAW ZIMOCH: „Musi upłynąć wiele czasu, zanim coś się zmieni".

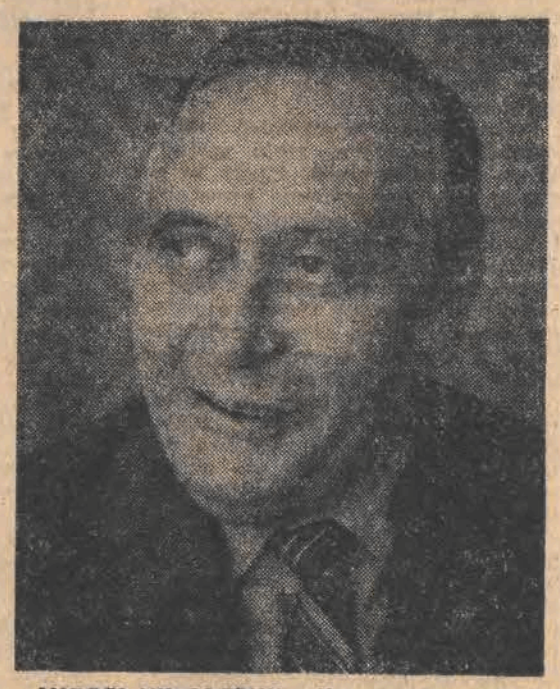

MIROSŁAW OLCZYK: „Nasuwa się zatem pytanie czy spekulacja nie jest rakowatą narośla na naszym organiźmie".

Foto: R. Łucyszyn

STANISŁAW MAURER: — Wyeliminowana zostaje całkowicie możliwość odpowiadania przed sądem z wolnej stopy, choć stanowi ona generalną zasadę praworządności. Chcę wreszcie podkreślić to, o czym niedawno pisał na łamach „Polityki" Stanisław Podemski, że pakty praw człowieka gwarantują także zatrzymanemu, a nie tylko aresztowanemu, prawo odwołania się do sądu. Kierunek zmian w naszym prawodawstwie powinien być więc tego rodzaju, aby zatrzymanie w jakiejkolwiek sprawie podlegało natychmiastowej kontroli sądowej. Wreszcie, w tym projekcie, w miejsce obwarowanego całym szeregiem rygorów formalnych aktu oskarżenia, który można przecież zwrócić prokuratorowi do uzupełnienia, jeśli tym rygorom nie odpowiada, wprowadza się instytucję zawiadomienia o przestępstwie.

MIROSŁAW OLCZYK: — Nawet ustnego.

STANISŁAW MAURER: — Tak, ustnego, do protokołu. Wreszcie wszystkie usiłowania zmierzają dziś do tego, aby śledztwo i dochodzenie prowadził prokurator, a milicja tylko określone czynności na zlecenie prokuratora. Tymczasem w projekcie ustawy antyspekulacyjnej jest kierunek odwrotny. Prokuratora prawdopodobnie w tym procesie w ogóle nie będzie, bo jego udział nie jest obligatoryjny. A z dotychczasowych doświadczeń trybu przyspieszonego wiadomo, że prokuratora niemal nie ma. Mało tego, są w niesłychany sposób rozszerzone uprawnienia milicji, której przysługuje nawet prawo do wnoszenia środków odwoławczych. Brak tylko jeszcze, żeby funkcjonariuszowi milicji dać prawo składania wniosków o rewizję nadzwyczajną.

MIROSŁAW OLCZYK: — Nie tylko milicji, ale i PIH.

STANISŁAW MAURER: — Jeśli to wszystko ująć syntetycznie, gwarancje oskarżonego takie jak zasada swobodnego wyboru obrońcy, zasada swobodnego porozumienia się obrońcy i oskarżonego w warunkach gwarantujących tajemnicę zawodową oraz zasada dysponowania odpowiednią ilością czasu dla należytego przygotowania się do obrony, zostają w trybie przyśpieszonym zupełnie unicestwione. Przecież oskarżony może w tym wypadku zwrócić się tylko do obrońcy dyżurującego. Zasada swobodnego porozumienia przynajmniej w Łodzi także nie może być zrealizowana ze względu na brak warunków w areszcie śledczym. A są to warunki, które uchybiają nie tylko godności ludzkiej, ale także powadze wymiaru sprawiedliwości.

STANISŁAW ZIMOCH: — Co racja, to racja, ale pan to przejaskrawił. Nie wyobrażam sobie przystąpienia do rozpoznania sprawy bez umożliwienia oskarżonemu kontaktu z obrońcą.

STANISŁAW MAURER: — Sąd mimo najlepszej woli nie jest w stanie stworzyć właściwych warunków do takiego porozumienia.

MIROSŁAW OLCZYK: — Mnie się wydaje, że w tym punkcie jesteśmy zgodni z panem sędzią. Nie wyobrażam sobie bowiem, aby sądownictwo było usatysfakcjonowane trybem przyspieszonym. Przyspieszony wymiar sprawiedliwości jest zaprzeczeniem wymiaru sprawiedliwości.

STANISŁAW MAURER: — A niezależnie od tego wszystkiego podjęliśmy przecież określone zobowiązania międzynarodowe, których musimy dotrzymywać.

— A konstytucja? Dlaczego musimy powoływać się na konwencje międzynarodowe, skoro wszystkie gwarancje oskarżonego zawiera konstytucja.

STANISŁAW MAURER: — Nigdy nie spotkałem się z sytuacją, aby sąd utrudniał mi obronę w trybie przyspieszonym, ale gdyby chciał zrealizować materialne prawo do obrony, to musiałby każdą sprawę w trybie przyspieszonym natychmiast odroczyć.

MIROSŁAW ZIMOCH: — Ja też nie jestem zwolennikiem rozpoznawania spraw w trybie przyspieszonym. Niemniej takie postępowanie jest od kilkunastu lat przewidziane w obowiązującym kodeksie karnym i komisja kodyfikacyjna powołana przez ministra sprawiedliwości nie przewiduje tutaj zmiany w odniesieniu do spraw o charakterze chuligańskim. Nie przewiduje zmiany także projekt społeczny kodeksu karnego. Nie postulując więc kierowania spraw o spekulację do postępowania przygotowawczego mogę się zgodzić, że ostatecznie nie my zadecydujemy o wprowadzeniu tego trybu. Widzę większe niebezpieczeństwo. Pamiętajmy, że tryb przyspieszony przed kolegium polega na tym, że nawet w razie ukarania grzywną oskarżony albo natychmiast płaci, albo też, gdy nie jest w stanie tego uczynić w danej chwili, przystępuje się do wykonania kary zastępczej pozbawienia wolności. Komu to jest potrzebne?

MIROSŁAW OLCZYK: — Stanowiska trochę się polaryzują. Pan sędzia jest też przeciw trybowi przyspieszonemu, a jeżeli już ma ono być, to na gruncie regulacji przewidzianej w kodeksie postępowania karnego. My, obrońcy, stoimy na stanowisku wyeliminowania trybu przyspieszonego jako elementu postępowania jurysdykcyjnego. Dotyczy to nawet kodeksu postępowania karnego, a co dopiero ustawy epizodycznej. Także ze względu na uwarunkowania czysto modelowe. Zwróćmy uwagę na to, że tryb przyspieszony, pomyślany początkowo jako instytucja wyjątkowa, wprowadzono ustawą z 22.V.1958 r. o zwalczaniu chuligaństwa. Tam maksymalna granica sankcji ustalona została na 6 miesięcy pozbawienia wolności. W kpk z 1969 rozrosło się to do roku. Projekt ustawy antyspekulacyjnej przewiduje dwa lata. Czyli narośl, generalnie rzecz biorąc obca naszemu porządkowi prawnemu rozrasta się, podobnie jak spekulacja. Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia nie przewiduje trybu przyspieszonego do czynów o charakterze spekulacyjnym.

STANISŁAW ZIMOCH: — Sprawy spekulacyjne były z trybu przyspieszonego wyeliminowane.

MIROSŁAW OLCZYK: — Pewnie z uwagi na dość skomplikowane stany faktyczne, bo sprawy spekulacyjne są bardzo trudne dowodowo. Ale nie w tym rzecz. Postawiłbym tezę, że instytucja trybu przyspieszonego wchodzi na stałe do modelu naszego postępowania jurysdykcyjnego. Mało tego. Dotychczasowe akty prawne, łącznie z regulacją kpk czy kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia przewidywały czasowość stosowania tego trybu (w ciągu roku kilka miesięcy), przewidywały także specjalne rozporządzenia co do regionów, na których miał obowiązywać tryb przyspieszony. Obecny projekt przewiduje objęcie trybem przyspieszonym całego kraju tak w odniesieniu do występków, jak i do wykroczeń. Brak jest także granicy czasowej. A więc ten wyjątkowy tryb przyspieszony...

STANISŁAW ZIMOCH: — ...staje się zjawiskiem powszechnym.

STANISŁAW MAURER: — Kiedy w 1958 roku wprowadzono tryb przyspieszony pakty praw człowieka nie były jeszcze ratyfikowane przez Polskę.

MIROSŁAW OLCZYK: — Ale była już konstytucja.

STANISŁAW MAURER: — I oto, w cztery lata po ratyfikacji praw człowieka nie tylko nie usunęliśmy sprzecznego z nimi trybu przyspieszonego, ale go rozszerzamy. Trzeba jeszcze dodać, że w trybie przyspieszonym w momencie jego wprowadzenia mogły być rozpoznawane sprawy, w których górne zagrożenie ustawowe wynosiło 2 lata. Przy obecnym reżimie prawnym górne zagrożenie wynosi 5 lat. A w rządowym projekcie ustawy antyspekulacyjnej mogą być w tym trybie rozpoznawane sprawy zagrożone karą 8 lat, a nawet 10 lat. I sąd nie może przekazać do trybu zwykłego sprawy, która ślimaczy się nawet przez rok. Nieco złośliwie ten projekt można nazwać projektem ustawy policyjnej, bo rola milicji zostaje wyeksponowana do niebywałych granic.

MIROSŁAW OLCZYK: — Można pójść jeszcze dalej i dać milicji prawo orzekania.

HALINA ŁATECKA: — Mnie się wydaje, że sama materia czynów o charakterze gospodarczym jest zupełnie inna niż czynów chuligańskich, które są zupełnie jednoznaczne moralnie.

MIROSŁAW OLCZYK: — Pamiętajmy jakie trudności sprawiają przepisy o charakterze blankietowym, a tu blankietowość jest niesłychanie rozbudowana.

HALINA ŁATECKA: — Nie tylko blankietowość. Niebezpieczna jest także sprzeczność aktów prawnych różnego rzędu. Weźmy choćby te zasady sprzedaży, inne w GS, a inne np. w „Społem". I różne w różnych województwach.

— Ta ustawa ma charakter karny, ale chcemy przy jej pomocy osiągnąć cele gospodarcze.

MIROSŁAW OLCZYK: — Pan tu poruszył bardzo ważną rzecz. Otóż ambicją ustawodawcy jest zawsze rozwiązywanie przy pomocy ustaw karnych pewnych dalekosiężnych celów. Zarówno ustawy w preambułach jak i orzecznictwo na tle tych ustaw zawsze zakładały dalekosiężne cele. W ustawie z 1957 mówiło się o kształtowaniu właściwych postaw, wyplenienia naleciałości obcych naszemu ustrojowi. A w rezultacie nic z nich nie wyszło, ani w sferze ekonomicznej, ani w sferze kształtowania postaw moralnych.

STANISŁAW MAURER: — Ja chciałbym podnieść tu jeszcze kwestię domniemania. Projekt przewiduje domniemanie, że pieniądze zakwestionowane u ujętego na gorącym uczynku sprawcy zostały uzyskane w wyniku spekulacji. Dziś obowiązujące ustawy wprowadzają zasadę, że sąd może orzec przepadek narzędzi służących do popełnienia przestępstwa jak również przedmiotów pochodzących bezpośrednio, lub nawet pośrednio, z przestępstwa. Ale do tego rodzaju wniosku sąd dochodzi na drodze postępowania dowodowego z uwzględnieniem zasady, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Odejście od tej zasady...

STANISŁAW ZIMOCH: — ...łamie zasadę domniemania niewinności.

STANISŁAW MAURER: — Tak. Chciałbym przytoczyć niesłychanie trafny pogląd pana Lecha Falandysza wyrażony w jego artykule opublikowanym przez „Tygodnik Solidarność". Autor stwierdza: jedno jest pewne, nie trzeba pośpiechu tam, gdzie istnieje uczciwy wymiar sprawiedliwości. I myślę, że nasze prawo stać na to, aby się pozbyć podejrzanych instytucji, a jedna z nich jest tryb przyspieszony.

MIROSŁAW OLCZYK: — Zastanawiam się nad sensem naszego spotkania. Wymiana poglądów jest na pewno rzeczą sympatyczną, ale czy wyniknie stąd cel praktyczny? Zakładamy oczywiście dobrą wolę ze strony Sejmu, dlatego naszą dyskusję należy potraktować jako konsultację społeczną. I głęboko wierzymy, że odpowiednie komisje sejmowe wezmą te nasze wątpliwości pod rozwagę.

STANISŁAW ZIMOCH: — Pamiętajmy jednak, że nie podnieśliśmy tu wszystkich niuansów, wyeksponowaliśmy tylko najważniejsze problemy. Bo weźmy choćby tryb przyspieszony w sprawach chuligańskich. Tam dopuszczalny jest także tryb uproszczony. A w tym projekcie ustawy mamy wyraźny przeskok.

STANISŁAW MAURER: — Nie możemy się wypowiadać o wszystkim, bo znamy projekt właściwie od dwóch dni.

HALINA ŁATECKA: — W nielepszej sytuacji są posłowie. Ale może nawiążę do tego, co mówił mecenas Olczyk, który zastanawiał się nad celowością naszej dyskusji. Otóż ustawy, które wchodzą w życie, muszą zyskać akceptację społeczną. Uzyskują ją poprzez kształtowanie świadomości. Stenogram tej rozmowy opublikujemy w prasie, z którym zetknie się przecież określona ilość osób, w tym przedstawiciele czynników partyjnych i rządowych, w jakiś sposób będzie tę świadomość kształtować. Myśl dojrzewa przecież nie tylko w Sejmie. Dojrzewa przede wszystkim poza Sejmem. I to ma znaczenie.

STANISŁAW ZIMOCH: — Ja cel naszej rozmowy widzę w poinformowaniu społeczeństwa, że zjawisko spekulacji zostało dostrzeżone. Ale niech nikt nie sądzi, że zwalczanie spekulacji doprowadzi do zapełnienia półek sklepowych ani że zniknie pokątny handel. Niech społeczeństwo ma także świadomość, że nikt nie uważa, że ustawa musi bezwzględnie wejść w życie. A jeśli zostanie uchwalona, będzie to tylko zło konieczne. Ale na pewno nie może wejść w tej wersji.

— Myślę, że ostatnia uwaga sędziego Zimocha może być także konkluzją naszego spotkania. Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Dyskusję przygotował:
KONRAD FREJDLICH

MARIUSZ JĘDRZEJCZAK

PODWYŻKI — TAK, ALE JAK?

O konieczności podwyżek cen wszyscy doskonale wiemy i w mniejszym lub większym stopniu jesteśmy już do nich przekonani. W obecnej sytuacji gospodarczej wydają się być one absolutnie nieuniknione. W związku jednakże z tym faktem nasuwa się cały szereg poważnych wątpliwości co do jej wysokości i zakresu objętych nią towarów.

Minister Z. Krasiński w jednym z licznie udzielanych na ten temat wywiadów stwierdził, że jeśli społeczeństwo jest zgodne co do konieczności wprowadzenia podwyżki cen detalicznych, to jest on gotów prowadzić spór o metodę jej przeprowadzenia. **Osobiście wydaje mi się jednak, iż to właśnie przede wszystkim owa metoda zaważy na fakcie przyjęcia bądź odrzucenia przez ogół ludzi pracy proponowanej reformy cen,** gdyż od umiejętnego przeprowadzenia tej operacji będzie zależał jej sukces lub kolejne fiasko. Należy przy tym jednoznacznie stwierdzić, że manewr ten nie może się nie udać. Skutki mogłyby być katastrofalne, zarówno w aspekcie gospodarczym jak i społecznym.

Minister Z. Krasiński opiera swoje przekonanie, co do zgody społecznej na proponowaną kurację gospodarki, na wynikach przeprowadzonych przez siebie badań panelowych. Z faktu tego jednak wcale jeszcze nie wynika, że ogół ludzi pracy zgodzi się na wysokość i zakres przewidywanej podwyżki. Zapoznając się bowiem z opublikowanymi już proponowanymi nowymi cenami, można mieć poważne wątpliwości w tej mierze. Nie można bowiem nie odnieść wrażenia, że mimo nawet najszczerszych zapewnień przewodniczącego PKC, cała akcja zmierza do maksymalnego drenażu kieszeni przeciętnego obywatela. Zaznaczam — przeciętnego, gdyż jestem absolutnie przekonany, że ci żyjący znacznie powyżej tego pułapu nie odczują podwyżek zbyt boleśnie, albo i wcale.

Przyglądając się propozycjom cenowym artykułów spożywczych nie sposób nie odnieść wrażenia, że rząd za wszelką cenę chce jednorazowo zlikwidować uciążliwe dla niego subsydiowanie cen żywności. Jestem zwolennikiem oparcia cen artykułów spożywczych o rachunek ekonomiczny. Trzeba jednak pamiętać, że wiele krajów znacznie lepiej od nas rozwiniętych, o większej konsumpcji żywności, również do wielu artykułów dopłaca, zwłaszcza do tych najważniejszych ze społecznego punktu widzenia. Nie wydaje mi się więc, aby udało nam się tego całkowicie uniknąć, przynajmniej w odniesieniu do chleba, mleka i niektórych przetworów owocowych.

Kwestią niezwykle istotną, podniesioną bardzo słusznie przez redaktora J. Indelaka w artykule pt. „Czy rząd chce nas urządzić" (Odgłosy nr 34 z dn. 23.08.1981 r.), jest podstawa o jaką oparto proponowane ceny detaliczne. **Trudno bowiem mówić o faktycznych kosztach produkcji, skoro nie ma całkowitej jasności co do cen energii elektrycznej, niektórych surowców i półfabrykatów w przemyśle przetwórczym i spożywczym.**

Oczywiście, jeżeli przyjąć, że celem nadrzędnym tej bolesnej operacji ma być bezwzględna likwidacja tzw. „nawisu inflacyjnego", to reforma ta na pewno spełni swoje zadanie. Będzie to jednak klasyczne działanie na zasadzie „cel uświęca środki". Oczywiście środkiem ostatecznym likwidującym nadwyżkę pieniądza na rynku ma być podwyżka cen przemysłowych artykułów konsumpcyjnych.

Osobiście żywie uzasadnioną chyba obawę, że po opublikowaniu nowych cen na te towary wielu ludzi w kraju złapie się za głowy, naocznie przekonując się, że chęć posiadania przez nich lodówki lub pralki automatycznej uznane zostało za luksus dostępny jedynie wybranym.

W tym miejscu nasuwa mi się jedna uwaga. Do tej pory mianowicie, przy faktycznie stosunkowo niskich cenach żywności, dopłaty do tych artykułów znajdowały pokrycie m.in. zawyżonych odpisach akumulacyjnych od towarów pochodzenia przemysłowego, uznanych za luksusowe, np. samochody osobowe, kolorowe telewizory, sprzęt elektroakustyczny wysokiej jakości. **Jeżeli więc reforma cen ma wprowadzić faktyczną, odpowiadającą społecznym kosztom produkcji strukturę i relacje cen, to wydaje mi się, może niezbyt trafnie, że te ostatnie powinny stanieć, bądź też przynajmniej relatywnie stanieć, przez fakt nie podnoszenia ich cen w stosunku do artykułów spożywczych.** Zanika bowiem jeden z podstawowych powodów zafałszowywania ich wartości, to znaczy konieczność dopłat do cen żywności. Rozumowanie to wydaje się być dość proste, przy założeniu naturalnie, iż zapowiadana reforma ma być przeprowadzona w interesie społeczeństwa, a nie wbrew temu interesowi. Wydaje się bowiem, że cała operacja ma sens jedynie wtedy, gdy jest konsekwentna od początku do końca i gdy od głoszonej zasady nie ma aż tak drastycznych wyjątków. **Działania te podyktowane są, jak należy sądzić, jednostronnym widzeniem sytuacji rynkowej, wyłącznie poprzez pryzmat zbyt dużej ilości pieniądza, a nie zbyt małej ilości towarów.** Podzielam tu więc również pogląd redaktora J. Indelaka.

W moim osobistym przekonaniu wprowadzana reforma powinna doprowadzić do **ukształtowania się cen o charakterze alternatywnym, tzn. takich, aby potencjalny konsument mógł samodzielnie dokonywać racjonalnego wyboru swojego modelu konsumpcji.** Albo decyduje się na bardziej luksusowy standart żywienia, albo też oszczędza, chcąc w perspektywie zrealizować jakiś poważniejszy zakup, np. w postaci samochodu.

Perspektywa taka moim zdaniem musi istnieć, by nie okazało się, że mimo podwyżki cen artykułów żywnościowych, a w wyniku wprowadzonej rekompensaty, popyt na żywność wcale nie maleje. Po prostu nie będzie innej możliwości wydatkowania pieniędzy, ponieważ towary przemysłowe będą zbyt drogie. **A przecież cała ta operacja ma sens jedynie wtedy, gdy zapewni odpowiednią podaż towarów i ich dostępność.**

W związku z tym koniecznością, a właściwie złem koniecznym, wydaje się być **postulat rozszerzenia przedpłat na artykuły trwałego użytku.** Byłoby to wybranie mniejszego zła. Przedpłaty jednak z rozsądnie ustalonymi terminami ich realizacji, które spełniłyby rolę pompy ssącej gotówkę z rynku. Za rozsądny termin realizacji rozumiem np. w przypadku mebli czy artykułów wyposażenia mieszkań, okres roku do półtora, precyzyjnie określony w umowie zawartej między dostawcą, a dokonującym przedpłaty, ze wszystkimi wynikającymi z niej konsekwencjami dla obu stron, w przypadku nie zrealizowania dostawy lub odbioru. Forma ta i tak jest wyjątkowo korzystna dla producenta, utrwala bowiem jego rynkowy monopol i przysparza mu niezasłużonych środków. Funkcjonujący obecnie system przedpłat urąga wszelkim zasadom zdrowego rozsądku. Jeśli wziąć pod uwagę meble, czeka się na nie trzy lata bez żadnej pewności realizacji w tym terminie. Konieczne są tu więc bardziej energiczne działania stymulujące podaż, a nie tylko drenujące rynek.

Nie chciałbym, aby posądzano mnie o nie docenianie wagi wspomnianego już nawisu inflacyjnego. Jest on faktem, tak jak i szkodliwe skutki jego istnienia. Faktem jest jednak również to, że nie wszystkim, jak się ktoś już wyraził, jednakowo nawisa. **Podstawową część tej sumy stanowią jak wiadomo przymusowe oszczędności społeczeństwa zdeponowane w PKO.** Jest to tzw. gorący pieniądz, gotowy w każdej chwili ruszyć na rynek.

Jest to jakby jedna strona zagadnienia. Drugą jest bowiem fakt, być może mniej widoczny, iż znaczna część tych oszczędności ma swoje źródło w pożyczkach w kasach zapomogowo-pożyczkowych w zakładach pracy. Bardzo wielu ludzi biorąc owe nieoprocentowane pożyczki wpłaca je na książeczki PKO, oprocentowane jak wiadomo od 4% wzwyż. Sumy te jednak trzeba spłacać, co znacznie zmniejsza siłę nabywczą ludności. Rząd więc i PKC, biorąc pod uwagę nawis inflacyjny w całości i przymierzając się do jego likwidacji, zdają się nie widzieć właśnie jego struktury. Znaczny bowiem w nim udział mają oszczędności drobnych ciułaczy, ludzi młodych i starszych, odkładane na mieszkanie, lub inne bardziej kosztowne domowe inwestycje. Są to pieniądze gromadzone często kosztem dużych wyrzeczeń, które po wprowadzeniu reformy zostaną zneutralizowane. Wystąpi tu również drastycznie problem ludzi młodych na dorobku, którzy mogą stanąć wobec faktu niemożności realizacji swoich podstawowych celów życiowych, choćby posiadania i urządzenia własnego mieszkania. Nic bowiem nie słychać o zamierzeniach idących w kierunku chociażby zwiększenia kredytów dla młodych małżeństw, rozłożenia ich na bardziej dogodne raty, czy zmniejszenia oprocentowania. A warto wiedzieć, że kredyt ten jest obecnie najdroższy w całym obozie państw socjalistycznych.

Problemów i niejasności do rozwiązania jest jak widać jeszcze wiele. Celowo nie poruszałem w ogóle kwestii rekompensaty, gdyż uważam ją za problem wtórny w stosunku do zagadnienia podwyżki cen detalicznych artykułów konsumpcyjnych i z oczywistych względów nie rozwiązujący całości sprawy. Pominąłem również niezwykle istotne zagadnienie minimum socjalnego, wymagające natychmiastowego urealnienia ze względu na skutki podwyżki dla najuboższych. Oba te problemy wpłyną niewątpliwie znacznie na reakcje społeczeństwa w odniesieniu do nowych cen. Wymagają one jednak odrębnego potraktowania.

Sądzę więc, że podwyżka cen jest nie tylko aktem ekonomicznym, ale również społeczno-politycznym, w związku z czym musi zostać zaakceptowana przez wszystkich ludzi pracy. Ta trywialna prawda powinna być również oczywista dla przygotowywujących reformę cen. Rząd i PKC nie mogą forsować jedynie swojego projektu i to takiego, który w tak znacznym stopniu przerzuca wszystkie koszty kryzysu na społeczeństwo, zwłaszcza najsłabsze warstwy. Nie wszystkie możliwości chyba już wyczerpano?

Tak więc pytanie postawione na wstępie jest nadal aktualne.

Dalszy ciąg ze str. 1

To była ideologia naszego Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici": ideał wyzwolenia jednostkowego przeważał nad ideałem rewolucji społecznej. Najważniejszy był w tym chyba jednak element indywidualnej odpowiedzialności za swój los. Utrzymał się on także później, gdy już wiedzieliśmy, że zmienił się ustrój, że powstały warunki awansu społecznego. Również i wtedy sądziliśmy, że nie wystarczy rewolucja i awans klasy, że zawsze trzeby się starać także o rozwój indywidualny. Myślę, że to podejście nie było złe.

chanicznego zaszeregowania do obozu wrogiego wszystkich zwolenników reform. Jakie stosować kryteria, aby uniknąć tragicznej pomyłki?

— Istnieją dwie kwestie reformowalnych stosunków społeczno-politycznych: czy przewodnia rola partii nie jest sprzeczna z niezależnymi samorządami, czy niezależne samorządy nie podważają tej roli PZPR. Wychodzić trzeba z założenia, że przewodnia siła narodu wnosi do jego dążeń określone idee, cele całościowe, bez których życie byłoby może zewnętrznie ładne, ale wewnętrznie puste, jak świątynia bez Boga, że posłużę się określeniem poety. Tym celem był, jest i pozostaje — socjalizm. Nadrzędnym zadaniem partii pozostanie zawsze realne urzeczywistnienie jego głównych idei, bez reglamentacji inicjatyw i działań, które są i będą domeną samorządu szeroko rozumianego. Z pewnością powstawać będą sytuacje, w których partia, jako siła budowana na interesach globalnych społeczeństwa, zakwestionuje interesy grupowe, które rodzić będzie samorząd, jeśli nie ulegniemy idealizującej iluzji. Lecz i przeciwnie: samorządowa opinia dostarczać będzie informacji, czy sposób sprawowania kierowniczej funkcji przez partię jest właściwy, bez kwestionowania samej zasady kierowniczej funkcji.

W partii zawsze przewijała się myśl o potrzebie reform. Brak było natomiast dostatecznej woli ich przeprowadzenia. Być może wynikało to stąd, iż między innymi moje pokolenie nastawione było przede wszystkim na budowanie i zachowanie nowego ustroju, który po wojnie nie był przecież powszechnie akceptowany. Później, gdy utrwalił się i wymagał właśnie doskonalenia, w naszych postawach nadal tkwiły silniejsze elementy zachowawcze niż reformatorskie.

— W pana wypowiedzi wyczuwam pewną rezerwę. Czuję, że nie powiedział pan wszystkiego...

— Moje obawy są dwojakiego rodzaju. Pierwsza dotyczy ogólnego stanu naszego państwa, wręcz katastrofalnego. Poza tym inaczej dzisiaj patrzę na ten wielki ruch społeczny, jaki powstał latem ubiegłego roku. Wzbudził on nadzieję i optymizm w kwestii podjęcia reform, demokratyzacji naszego życia publicznego, stworzenia dynamicznego społeczeństwa, pełnego inicjatyw. Dzisiaj jestem ostrożniejszy w ocenie tego zjawiska, głównie dlatego, że zbyt długo trwa stan bezprogramowego ruchu społecznego i masochistycznego krytycyzmu.

Mam na myśli także brak własnych koncepcji — w jakim kierunku powinno się rozwijać nasze państwo i społeczeństwo. Program jest zawsze rzeczą najważniejszą, szczególnie w okresie dużych ruchów społecznych. Nadal nie widzę jasnego kierunku naszego ruchu. Demokracja? Nowa autokracja? Reformy? Powtarzanie błędów? Nowy ruch do przodu? Powtórka starych błędów? Wszystko jest możliwe! Właśnie to trzeba wiedzieć: wszystko jest możliwe — dobre i złe!

Jeśli zaś chodzi o moją pracę, no cóż, troski mam prozaiczne. Po prostu brakuje pieniędzy, a kultura — wbrew pozorom — sąsiaduje jednak z bankiem.

— Czy to jedyna troska?

— Dla nas polityków przyszły ciężkie czasy, gdyż trzeba zdawać sobie sprawę ze stanu rzeczy publicznych i przekonywająco projektować przyszłość. Nasuwa się jednak uwaga o znaczeniu ogólniejszym, nie doraźnym. W Polsce od dawna polityka była domeną podejrzaną, ocenianą jako uprawianie spraw brudnych i robienia niezasłużonych karier. Były przed wojną i po wojnie fakty i zjawiska, które dawały podstawę do podobnych opinii. Władza musi uczynić wszystko, aby opinie te nie miały podbudowy w faktach. Jednakże inercyjne utrzymywanie się w opinii publicznej tej nieprzejednanej podejrzliwści wobec polityków stanowić będzie psychologiczne źródło rekrutacji do działalności politycznej ludzi najgorszego autoramentu. To błędne koło trzeba przerwać.

— Powstaje pytanie, kto ma to zrobić?

— Kiedyś, przed laty, bardzo zależało mi na tym, aby władza lepiej rozumiała artystów, artyści zaś polityków. Stanowiło to motyw przewodni mojej działalności.

— Czy nie przypomina to czasem godzenia ognia i wody?

— Najogólniej biorąc: polityk nastawiony jest na osiąganie szybkich efektów, artysta ma prawo sądzić, że tworzy dla potomności.

— Ale władza najczęściej sprowadzała go na ziemię. Powiedzmy sobie szczerze, że mimo pańskich wysiłków stosunki nie układały się najlepiej.

— Nasza władza zainteresowana jest tym, aby twórczość kulturalna umocniła podstawowe fundamenty naszego ustroju, wolnego od wypaczeń, deformacji i dlatego władza nie boi się dzieł, które są krytyczne, inspirują korekty w duchu przyjętych zasad, w myśl ideałów, które jedni określają jako socjalistyczne, a inni jako humanistyczne. Oczywiście, mogą być pomyłki w ocenie dzieł i wówczas powstaje konflikt z autorem, wtedy wkracza cenzura, wtedy też pojawiają się kłopoty z wydaniem dzieła. Uważam, że sprawy te trzeba w przyszłości rozwiązywać mniej skrajnie, mniej arbitralnie, przede wszystkim w porozumieniu z autorem, aby osiągnąć jakieś minimum wspólnej akceptacji co do losów książki współczesnej.

— Podał pan przykład książki, ale odnosi się to do wszystkich gatunków twórczości. Wiemy jednak, że władza najbardziej lubi dzieła afirmujące, co nazywa się eufemistycznie odpowiedzią na zamówienie społeczne. Ta afirmacja miała często charakter płaski, doraźny, lokajski. Czy po doświadczeniach Sierpnia tzw. „zamówienie społeczne" nie będzie w dalszym ciągu nadużywane?

— Jest właściwie jedno zamówienie: aby kultura i sztuka uczestniczyły w budowaniu Polski pracującej, w budowaniu Polski dobrze rządzonej, w budowaniu Polski, w której życie będzie wreszcie znormalizowane — jako ostateczna alternatywa zawsze historycznie Polski cierpiącej. Myślę, że jako program jest to wiele i że jest to ważne nie tylko dziś w tej sytuacji kryzysowej, ale zawsze, w sensie czuwania nad takim rozwojem naszego kraju.

— Myślę, że kulturę stać było na czuwanie, nie miała jednak realnej siły wpływania na rzeczywistość. I to nie dlatego, że jej niepokoje rozchodziły się z dążeniami narodu, ale dlatego, że często musiała spełniać dekoracyjną rolę rozbudzonego sumienia.

JOZEF TEJCHMA: „Nasza władza zainteresowana jest tym, aby twórczość kulturalna umocniła podstawowe fundamenty naszego ustroju, wolnego od wypaczeń, deformacji i dlatego władza nie boi się dzieł, które są krytyczne, inspirują korekty w duchu przyjętych zasad, w myśl ideałów, które jedni określają jako socjalistyczne, a inni jako humanistyczne".

— Kultura sama z siebie musi wyłonić odpowiedzialność za swoją pozycję w życiu narodu. Uczyni to skutecznie wtedy, gdy stanie się sojusznikiem polityki — sojusznikiem w wielkim stylu — w dziele konsolidacji narodu wokół jego celów, wyłonionych z ducha naszego czasu, z warunków naszego życia i potrzeb nowych pokoleń. Takim celem integracyjnym kultury w życiu narodu jest stałe poszukiwanie i urzeczywistnianie optymalnego wariantu realizacyjnego uniwersalnych idei socjalizmu. Wszystkie inne propozycje są jedynie poszukiwaniem nie lepszych treści ustrojowych, lecz innych sposobów manipulowania, innych technik rządzenia.

— Czy w tych uniwersalnych ideach socjalizmu mieści się także chrześcijański humanizm? Sierpień przekonał nas naocznie jak głęboko zakorzeniony jest w tradycji robotniczej właśnie pierwiastek chrześcijański.

— Jako marksista jestem zwolennikiem zarówno jasnego definiowania odrębności filozoficzno-motywacyjnych humanizmu, jak też poszukiwania wartości, które mogą być wspólne w budowaniu politycznej jedności narodu i kształtowaniu nowego społeczeństwa. Jest rzeczą znaną, że to właśnie m.in. pod wpływem myśli katolickiej marksizm z większą uwagą odnosi się dziś do problemu jednostkowego życia, do poszukiwania w nim elementu nieśmiertelności i przeciwnie, katolicyzm pod wpływem marksizmu z większym zrozumieniem podjął problemy wielkich grup społecznych. Granice i różnice nie zostały zatarte, ale poszukiwania zostały wzbogacone. Można żywić nadzieję, że ta wielonurtowość w polskiej kulturze pomnoży siły budowy socjalistycznego społeczeństwa, w którym funkcjonować będą wielkie wartości humanistyczne. Dodam dla prostego przykładu, że pewne sprawy trzeba postawić najwyczajniej na nogach zdrowego rozsądku: np. złodziej mienia publicznego — ateista czy wierzący — nie jest lepszy dla jednych, ani gorszy dla drugich, jest tylko złodziejem.

— Czy to przypadek, że podając przykład oceny ludzkiego postępowania, podlegający jednakowemu osądowi niezależnie od racji światopoglądowych, posłużył się pan przykładem negatywnym?

— Wołania o obecność bohatera pozytywnego przeważnie bywały mało skuteczne. Literatura klasyczna jest zaludniona różnymi postaciami, wśród których tak zwani bohaterowie negatywni są najsilniejszymi indywidualnościami. Ważne jest jednak to, że nie są oni nosicielami uznawanych przez nas wartości. Bo sztuka działa w sposób swoisty. Trzeba rozumieć, że pokazując otchłań zła oraz ludzi pogrążonych w tej otchłani sztuka najczęściej nie proponuje takiej właśnie drogi dla człowieka. Pokazuje tylko jakoy możliwość, której człowiek powinien unikać.

— Od tych ogólnych refleksji przejdźmy może do spraw praktycznych. W porozumieniach gdańskich mówi się o dwóch procentach dochodu narodowego na kulturę. Co można za to zrobić?

— Gdybyśmy przeznaczyli na rozwój kultury dwa procenty z dochodu narodowego — o co społeczna opinia zabiegała — jej sytuacja byłaby dobra. Obecnie grozi nam ponowne obcięcie wydatków, odbiegające od ustaleń planu zatwierdzonego niedawno przez Sejm. Jestem realistą i wiem, że zagrożenia są realne, brakuje nam nie tylko na inwestycje, ale i na rozwój twórczości. Kłopoty z papierem, poligrafią czy kinematografią są tego wymownym przykładem.

— Może za mało pan żąda? Gdyby odwołał się pan do środowisk twórczych, na pewno znalazłby pan poparcie dla swoich relacji.

— Osobiście wolę być krytyczny na konferencjach wewnętrznych niż w publicznych wypowiedziach. A spotyka się przecież i odwrotne postawy, publiczne rozdzieranie szat dla zdobycia popularności i „zamknięte usta" na spotkaniach z decydentami dla zdobycia ich pochwał. Wolę spokojniejszy sposób wypowiedzi publicznych i bardziej krytyczny w gabinetach władzy.

— Skoro rozmawia pan szczerze z decydentami, poznał pan zapewne motywy, które nimi kierują. Dlaczego kultura a ściślej potrzeby kultury, wciąż są odsuwane w czasie?

— Przy rządowym stole łatwiej dzieli się pieniądze dla działów tzw. produkcyjnych. A przecież kultura też jest rentowna, i to rentownością najwyższego rzędu. Zależność jest bowiem aż nadto oczywista: kulturalne społeczeństwo lepiej pracuje. Tyle, że jeśli się o tym rozmawia, to wszyscy się zgadzają, minister kultury z reguły spotyka się z dużą życzliwością, ale brakuje mu sojuszników w konkretnych zabiegach o środki dla jego resortu. Mówi się, co budować najpierw: mieszkania czy domy kultury? Pozorna logika podpowiadałaby, że mieszkania, których brak wciąż się pogłębia. Ale przecież mieszkanie bez zaplecza w postaci żłobków, kina, biblioteki, tak niegdyś wymarzone, staje się udręką. I dlatego równolegle z mieszkaniami powinniśmy zabiegać o budowę zintegrowanych osiedli z podstawową bazą. Nie ma innego wyjścia. Ta prawda toruje sobie drogę. Myślę, że nie będzie to nowe złudzenie myśli reformatorskiej.

— Może jesteśmy za biedni, żeby ta koncepcja stała się rzeczywistością?

— Po wojnie byliśmy biedni, ale dalekowzroczne wydatki na kulturę miały priorytet: odbudowa miast, zabytków, placówek oświatowych. Później wydatki były coraz mniejsze, a w latach siedemdziesiątych, w okresie dużej dynamiki dospodarczej, wystąpił właściwie najostrzejszy kryzys bazy kultury. Spadła produkcja książek, z przyczyn finansowych pojawiły się kłopoty kinematografii. Niektórzy twierdzili, że telewizja wystarczy jako model kultury.

— Słyszałem opinię, że telewizja sprzyja demokratyzacji kultury...

— Nawet przy osiągnięciu dużej powszechności uczestnictwa w kulturze, szerokiego dostępu do dóbr kulturalnych — zawsze istnieć będzie pewna nierówność w korzystaniu z tych wartości kultury, które uznajemy jako najwybitniejsze. Pewne wartości kulturalne pozostają elitarne ze względu na to, że wymagają gotowości i chęci rozumienia spraw trudnych bez względu na formalne wykształcenie. Bywają robotnicy filozofujący, bywają inteligenci, którzy nie mają woli korzystania ze statusu inteligencji w uczestnictwie kulturalnym. Dążenie do upowszechniania wartości najwyższych określam jako dążenie do demokratyzacji kulturalnej bez względu na przynależność społeczną. Tej powszechności nie rozwiążą telewizja i radio, choć są one istotnym czynnikiem zmieniającym sytuację kulturalną społeczeństwa.

— Czy jest pan optymistą, jeśli chodzi o możliwości upowszechniania kultury, przy tylu zaniedbaniach, które zapewne będą się jeszcze pogłębiać z braku środków?

— Ponieważ zasadą uczestnictwa w kulturze jest aktywność, a taką aktywność wykazują obecnie wszystkie organizacje społeczne, związki zawodowe „Solidarność" i branżowe, z nadzieją patrzę w przyszłość. Wierzę, że ta wyzwolona i zaktywizowana energia społeczna znajdzie swe formy ekspresji w kulturze, w jej tworzeniu i w uczestnictwie kulturalnym.

— Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

sytuacja kultury

Rozmowa z JÓZEFEM TEJCHMĄ, ministrem kultury i sztuki PRL

Rozmawiał:
JERZY DARNAL

PS.: „Rozmowa", którą tu drukujemy jest sfingowana i nigdy nie miała miejsca, chociaż wszystkie wypowiedzi Józefa Tejchmy są autentyczne, pochodzą bowiem ze zbiorku „Polityka i kultura" zawierającego przemówienia, artykuły i wywiady ministra kultury od września 1980 do maja 1981 r. Mam nadzieję, że jego autor wybaczy mi tę mistyfikację.

ZBUNTOWANI (2)

Dalszy ciąg ze str. 1

Andrzej S. tłumaczy swoją decyzję brakiem zaufania. Czy jednak do końca przemyślał jej skutki? Zdaniem nauczycieli, była to nielojalność i nadużycie stanowiska. Oburzenie podsyciła analiza zarzutów. Większość uznano za przesadne albo wręcz nieprawdziwe. Nie wahając się zbytnio, skargę okrzyknięto „donosem", a jej autora oskarżono o dybanie na dobre imię szkoły i kolegów. Dla nich „rozrabiackie" intencje Andrzeja S. stały się oczywiste, gdy kontrola nie potwierdziła większości jego zarzutów...

Reakcje te, jak i wynik kontroli, chyba trochę zaskoczyły przejętego rozliczaniem nauczyciela. Dziś przyznaje wręcz, że zrobił to nieumiejętnie, że się niepotrzebnie „podłożył". Nie ukrywa też, że liczył na odzew związkowych kolegów, na to że coś się wreszcie ruszy (z pozoru w szkole były ku temu warunki: aż 54 na 78 pracowników jest w „Solidarności"...). Tymczasem jedni, urażeni jego nielojalnością, umyli ręce, inni zaś — dotknięci niektórymi zarzutami — wystąpili przeciw niemu.

Oliwy do ognia dolało spotkanie młodzieży z kierunku „konserwacja zabytków" z dyrekcją (vide I część „Zbuntowanych").

— Nam nie chodzi o skargę — to możemy między sobą wyjaśnić — ale przede wszystkim o młodzież — powiedziała mi jedna z nauczycielek. — Ona nie powinna w tym uczestniczyć! To jest demoralizujące i nie może być wzorem do naśladowania. W naszej szkole zakłóca się spokój, rozbija zespół nauczycielski, wprowadza złą atmosferę w stosunki międzyludzkie. Nagabuje uczniów do donosicielstwa, szpiclowania. To nie ma nic wspólnego z „Solidarnością". Odnowa to nie znaczy wichrzenie!

Ciekawe jednak, że winą za ten stan obarcza się tylko jedną osobę... Takiego zdania była widać większość członków Rady Pedagogicznej ,skoro na posiedzeniu 14 maja przegłosowała jawnie — zaproponowany przez przewodniczącego „starego" związku — wniosek o „wotum nieufności" dla prezesa „nowego" — i przeniesienie go do innej szkoły... Znaczący jest podział głosów: na 44 obecnych 37 było „za", 6 wstrzymało się, a tylko 1 (Andrzeja S. zresztą...) był przeciwny.

Jeszcze przed „wotum" naganę „za przekroczenie kompetencji" udzieliła swemu przewodniczącemu Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność". 19 czerwca w tajnym głosowaniu (przeprowadzonym na polecenie kuratorium) skreślono Andrzeja S. z listy kandydatów do nagród, na której figurował od stycznia. Przed tym głosowaniem przesunięto go z listy nagród „ministerialnych" na listę „kuratoryjnych"... Czyżby „na wszelki wypadek", gdyby głosowanie okazało się dlań jednak pomyślne?...

„Jest to dalszy ciąg rozliczania mnie (szkoda, że teraz finansowo — mam przecież dwoje dzieci)" — napisał do mnie Andrzej S. Za jego „rozliczanie" Rada Pedagogiczna zrewanżowała mu się bez skrupułów tym samym. Oskarżyła go o robienie „nagonki" na szkołę, teraz on takim samym słowem określa jej działania wobec niego...

Ale — mimo kolejnych ciosów — Andrzej S. wciąż nie chce zmiękнąć... Z uporem twierdzi, że prawda jest po jego stronie, a zło w szkole i nagonka na niego, usiłującego temu złu przeciwdziałać, zaczęła się na długo przed Sierpniem. Andrzej S. twardo też podtrzymuje swe zarzuty ze skargi do Prokuratury a niepomyślny (dla siebie) wynik kontroli przeprowadzonej przez Wydział Finansowy („Dlaczego nie NIK?" — pyta) i Kuratorium Oświaty i Wychowania, tłumaczy koneksjami dyrektora W., mającego tam swych „kumpli"... Trudno było spodziewać się innych efektów kontroli, skoro niektórzy z tych „kumpli" trafili do mej skargi — przekonuje nauczyciel .Istotnie, w piśmie tym, a także w obszernych dopowiedzeniach Andrzeja S. (w skardze, rzecz jasna, ujawnił on tylko część swojej wiedzy) przewijają się nazwiska ludzi z tzw. „oświatowej góry" przed którymi powinno się stawiać szczególne wymagania.

Tymczasem w punkcie dziewiątym skargi Andrzej S. napisał:

„Uczniowie szkoły wieczorowej twierdzą, że w czasie praktyk wykonywali różne usługi dla prywatnych obywateli. W latach 1976, 77, 78 wykonywali domki na ul. Pszczyńskiej na Stokach, tynkowali domek i malowali go na ul. Jaszuńskiego nr 6. Twierdzą też, że nosili materiał (remont) na prywatną budowę kierownika warsztatów inż. J. Publiczną tajemnicą jest, że wykonywali również willę pracownikowi kuratorium mgr J.G. Uczniowie — dodaje autor pisma — *obawiają się podać nazwiska, gdyż w perspektywie mają matury. Ciekawi nas, kto uczynił ze szkoły budowlanej prywatny zakład usługowy i jak to jest rozliczane?".*

Pod pręgierz wystawiony przez skromnego nauczyciela historii wędrują m.in. także dwie bezpośrednio odpowiedzialne za szkołę osoby: wicekurator M. i wizytator S., których mieszkania remontowali uczniowie w ramach zajęć szkolnych. Wśród oskarżonych są również dwie osoby z kierownictwa szkoły, panie B. i A., które wykorzystywały uczniów (oraz szkolnego stolarza) do prac domowych.

Niektóre nazwiska pojawiają się zresztą kilkakrotnie, także w innych papierach, które pieczołowicie kolekcjonuje Andrzej S. i teraz rozkłada przede mną jak skarby Sezamu... Dyrektora szkoły pana W. spotykamy np., obok wspomnianego wizytatora S., szefa wizytatorów — metodyków i... wicedyrektora ZUS pana W., na liście dzierżawców szkolnych garaży. Andrzej S. kwestionuje nie tylko wysokość opłat (śmiesznie niską), ale także sam fakt „wykorzystywania szkoły jako prywatnego folwarku", podczas gdy brakuje w niej magazynów, a harcerzom chcącym założyć szkutnię odmówiono przekazania choćby jednego z garaży.

Pismo Andrzeja S. wskazuje jeszcze na inne nieprawidłowości. Raz po raz pojawiają się pytania w rodzaju: „jak to jest rozliczane?", „kto to wszystko kontroluje i kto za to odpowiada?".

Inna część dokumentów to oryginalne oświadczenia uczniów... — *Ja zawsze miałem przyjaciół tylko wśród nich* — zwierza się Andrzej S. — *Bo wiedziałem, że oni mnie nie oszukują i że, jeśli mi się krzywda stanie, to mnie poprą... Dlatego właśnie jestem niebezpieczny dla dyrekcji....*

Zdaniem wicedyrektor A., Andrzej S. był zawsze osamotniony. — *Kolega S. się wyizolował, stronił od innych nauczycieli.* — mówi — *Toteż zaczęli go unikać i S. ze swymi wewnętrznymi przeżyciami uciekał do młodzieży.*

Uczniowie — jak wynika z dokumentów — *nieraz pomagali mu w montowaniu linii obrony, podsuwali argumenty... Czy jednak nieświadomie? Czy zostali do tego wciągnięci, jak przekonują mnie koledzy Andrzeja S.? Podpisywali „na ślepo", a może po prostu bezgranicznie ufali sympatycznemu wychowawcy?*

Najwięcej o sytuacji w szkole i stosunku młodzieży, mówi inne oświadczenie, z jesieni 1980. Po konkursie „Polska—dzieciom, dzieci—Polsce" obiecywano Andrzejowi S. nagrodę kuratorium. Gdy jej nie dostał, poprosił uczniów o potwierdzenie tego faktu na piśmie. W rezultacie powstało kuriozum. rejestr wszystkich zasług Andrzeja S. od początku pracy w szkole, które jednak nie doczekały się odpowiedniej oceny... Nie było to, jak widać, tylko zdanie nauczyciela, skoro pismo podpisało ponad 150 uczniów z sześciu najstarszych klas.

Ta „lista krzywd" prostuje moje pojęcie o tym, kiedy w szkole zaczęła się owa „demoralizacja", o którą nauczyciele oskarżają dziś Andrzeja S. i co naprawdę — zdaniem uczniów — mogło mieć na nich demoralizujący wpływ... Oświadczenie wskazuje wyraźnie na główne etapy zaogniającego się z każdym rokiem konfliktu i głównego winowajcę. Jest nim dyrektor W., *„były inspektor oświaty Łódź—Górna, przesunięty do nas za błędy w działaniu"*, jak nie zawahał się napisać w skardze do Prokuratury Andrzej S.

— *Mnie nie chodzi o nagrody* — przyznaje teraz, *a o głupie słowo „dziękuję". Ale uczciwe... Tymczasem dyrektor nawet jeśli na Radzie pochwalił, to potem, na zewnątrz cały splendor brał na siebie. ...W szkole traktowano mnie na zasadzie: „Jasio zrobił, Jasio może odejść". Jest trochę mojej winy, że dawałem się im terroryzować. Kiedy tyrałem z młodzieżą, inni pisali sprawozdania, szczycili się, zbierali odznaczenia i nagrody... Kiedy koledzy zbierali łapówki, uganiali się za korepetycjami ,śrubując ceny, a potem jeździli na wczasy za granicę — ja, żeby sobie kupić buty, wyjeżdżałem na kolonie... Wystarczyło jednak, że raz się postawiłem, to skoczyli na mnie... To i tak dziwne że po pierwszych przejściach w tej szkole, chciało mi się jeszcze robić... Jak można było — mimo tych ciągów — sześć lat tu wytrzymać? Może dlatego, że ja kocham pracę w szkole i dla niej pozbawiałem się wypoczynku, zaniedbywałem rodzinę...?*

Mówi dyrektor W:

— *Kiedy Andrzej S. przyszedł do szkoły dałem mu kredyt zaufania, sądząc, że będę mógł na niego liczyć... Przyszedł ze szkoły dla pracujących z oceną dobrą, miał tam kłopoty, jak wynikało z arkusza spostrzeżeń. Z początku nie mógł się u nas połapać. Chcieliśmy go jednak przygotować do oceny bardzo dobrej, dać szansę sprawdzenia się. Zaproponowałem mu opiekuństwo nad harcerstwem, a potem funkcję komendanta ośrodka ZHP. Ze zniżką godzin, dodatkiem specjalnym; to go ustawiało zawodowo i finansowo... Ale gdy coś się zaczęło rozkręcać, on nagle się zmienia, wyskakuje z krytyką ZHP jako całości ,na Radzie bez podania powodów rzuca, że harcerstwa prowadzić nie będzie. I to w chwili, gdy zaczyna się nowy okres!*

Mówi Andrzej S.:

— *Kiedy przejmowałem szczep, był 17 w dzielnicy. Wyprowadziłem go na trzecie miejsce... To była „wielka pardubicka"... Z 40 harcerzy szczep rozrósł się do 145! A o tu* — pokazuje Andrzej S. — *są dyplomy „za rozłożenie harcerstwa" ,jak mi zarzucił później dyrektor... Oglądam opinię Komendy Hufca Łódź—Śródmieście, gdzie podkreśla się jego „duże zaangażowanie i wkład pracy". — Przez 16 dni bez przerwy, z 80 harcerzami, przygotowywałem harcówkę* — opowiada były komendant — *Nawet gazetę wydaliśmy... A dyrektor choć harcówka była już otwarta, publicznie twierdził, że szczep nie działa, że robi „państwo w państwie", utrudnia pracę wychowawczą...*

Dyrektor W. bez zgody Rady Szczepu i za moimi plecami podejmował zobowiązania w jej imieniu. Najzdolniejszych kazano mi rekomendować do partii a jak nie godziłem się (sam jestem bezpartyjny), to napuszczali na mnie, krzyczeli, że odstępuje od idei harcerstwa... Dawano mi do zrozumienia, że jestem niepożądaną osobą...

Bardzo trudno ustalić dzisiaj jak to było naprawdę. Czy Andrzej S. swoją pełną rozmachu działalnością przestraszył dyrektora? Czy też może zbyt głośno chwalił się osiągnięciami i względami młodzieży, ściągając na siebie zazdrość, a potem i zawiść? A może — jak na początek pracy w szkole — zbyt natarczywie dopominał się gratyfikacji? Nie wykluczone też, że już wtedy był niewygodny z tym swoim krytycyzmem, waleniem prawdy prosto w oczy... Tak czy owak na powrót do harcerstwa nie dał się namówić, czyniąc pewien zawód nie tylko dyrekcji, komendzie hufca, ale i młodzieży, którą tak kocha... Opuścił ZHP, a rezygnację zawiózł osobiście naczelnikowi Wojciechowskiemu.

Z tego okresu pochodzi głęboka zadra w ambitnej duszy nauczyciela, nie pierwsza w jego życiu, ale pierwsza w tej szkole. Im zaś dłużej w niej pracował, tym mocniej rana wzbierała goryczą i narastał bunt.

— *W szkole mniej liczyły się zajęcia dydaktyczne, a bardziej imprezy, „wychowanie przez pokazówki"* — opowiada. — *Robiono wielki szum w Łodzi, żeby pokazać, co to technikum budowalane nie znaczy! Ciągle ktoś przyjeżdżał wizytował, szkołę trzeba było pokazywać... A przy okazji szły nagrody, odznaczenia... Choć nie dla wszystkich.*

Największy „cyrk" — jak powiada — *był w związku z nadawaniem szkole imienia.* Andrzej S. wziął na siebie opracowanie kącika nowego patrona. Kącik powstał piękny, co widzieli wszyscy, ale nikt mu zań nie podziękował. A podczas uroczystości „w nagrodę" pilnował w piwnicy pocztów...

— *Właśnie wtedy zaczęła naukę pierwsza klasa liceum konserwacji zabytków, nad którą powierzono mi wychowawstwo* — mówi — *Przez 3 miesiące wpisywano fikcyjne tematy w dziennikach...*

Próby uroczystości odbywały się pod okiem przedstawicieli kuratorium. Spędzano na nie z lekcji pół szkoły, żeby „udawała publiczność". Na estradzie ustawiano szereg dziewczyn, każda udawała inną nauczycielkę, a dyrektor „wręczał odznaczenia"... To była parodia wychowania, propaganda idiotyzmu, istny sabotaż pedagogiczny — Andrzej S. jeszcze dziś nie może opanować wzburzenia...

Po zajęciu pierwszego miejsca w konkursie Izb Pamięci Narodowej, gratulowano mu już po cichu nagrody kuratora. — *Cieszyłem się* — wspomina — *że młodzież zobaczy, że wreszcie nauczyciela się docenia.. Ale zamiast nagrody dostałem książkę... „Urządzenia kanalizacyjne Starej Warszawy".*

Wstał i zapytał na Radzie: — *„Jak długo jeszcze będę szykanowany?"* A w liście do KŁ PZPR wysłanym w marcu 1980 roku napisał *„ktoś wykorzystując mój zapał i umiłowanie zawodu czyni sobie z mojej pracy element reklamy i robienia kariery..."*

*

Ten obraz byłby jednak niepełny, gdybym nie wysłuchał i drugiej strony...

Rada Pedagogiczna nie kwestionuje zalet Andrzej S. — *Od razu było widać, że chce działać i wiem, że jak się w coś zaangażuje, to zapomina o wszystkim* — mówi wicedyrektor A. — *Tylko że on potem nie lubi się z nikim dzielić* — dodaje — *Nawet swoją wiedzą...*

— *Cały splendor chciałby wziąć na siebie. Wygląda na to, jakby tylko on był jedynym uczciwym w życiu.*

— *Wiemy jednak, że jest próżny, że bardzo kocha siebie i w sposób wręcz chorobliwy żąda dla siebie uznania. Nikt nie odbiera mu przecież zasług, choćby przy harcówce czy Izbie Pamięci. A jeśli chodzi o patrona... Mój Boże! Wszyscyśmy wtedy pracowali po 12 godzin!*

— *Jest nadwrażliwy. Cokolwiek się stało* — odnosił do siebie.

— *On za wszelką cenę chce nam udowodnić, że ...nie ma racji. Wiele spraw oczywistych, dla niego jest niezrozumiałych. A potem wyciąga je dla zwykłej sensacji. Choćby sprawa warsztatów. Wiele razy wyjaśnialiśmy, że legalnie pełnią usługi dla ludności. W tym roku ministerstwo każe nam nawet je rozszerzyć z myślą o zamówieniach prywatnych. A że dużo nauczycieli z tego korzysta? Jeśli posiadają zgodę dyrekcji... Nauczyciele nie mają przecież za dużo przywilejów!*

Andrzej S.: — *Ale nie szeregowi nauczyciele korzystali z warsztatów, lecz kuratorzy, wizytatorzy i dyrektorzy!*

— *Od początku wszyscy uważali, że Andrzej S. jest specyficznym człowiekiem i dlatego go bronili, nawet po jego „wyskokach" na Radzie Pedagogicznej* — mówi dyrektor W. — *Wiele razy dawałem się przekonać, bo zawsze cenię w człowieku to co jest lepsze.. I twierdzę, że w moim działaniu nie było złośliwości, nie było niczego, co byłoby skierowane przeciwko niemu...*

To nieprawda, że np. wystawa o ONZ nie została doceniona. To ona między innymi otworzyła mu drogę do oceny bardzo dobrej, a potem do nagród. Tylko że on sam siebie różnie własną ręką: co zrobi, to zniszczy. Jednym wyskokiem potrafi przekreślić swój dorobek. I nie chce tego zrozumieć...

Dyrektor próbuje odwieść mnie od przekonania, że ten konflikt dotyczy tylko jego i Andrzeja S. — *Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej nikt z dyrekcji nie sugerował „wotum nieufności". Tu nie jest nic ukartowane. Taka była wola Rady* — zapewnia. — Andrzej S. ma na ten temat inne zdanie, uważa, że dyrektor i parę innych osób, mają razem decydujący wpływ na decyzję Rady. Słuchając wypowiedzi nauczycieli, zastanawiam się jednak nad granicami tego wpływu. Czyż by był aż tak wielki, bym w ciągu 2-godzinnej dyskusji nie mógł usłyszeć choćby jednego głosu w obronie Andrzeja S.? Trudno uwierzyć... A jednak koledzy mają szczerze dość obecności Andrzeja S. w szkole. Czy jednak znaczy to, że są... kliką, że bezkrytycznie idą za dyrektorem? Mówią:

— *Andrzej S. ma prawo dochodzić swego, tylko nie kosztem uczniów.*

— *Osobiście każdy go lubił i wielu lubi nadal...*

— *Długi czas, tak samo jak inni, byłam skłonna go bronić. Ale zraziłam się do niego, gdy zaczął wciągać młodzież i oczerniać osoby mu przyjazne, życzliwe...*

— *Jak my możemy pracować z takim nauczycielem, który przed moją lekcją podburza uczniów przeciwko mnie, namawia do strajku? Dla mnie jest to tylko przykład zabiegania o tanią popularność...*

— *Rada Pedagogiczna do ostatniego momentu darzyła go zaufaniem. Wytypowała do nagrody ministra... Ja uważałam, że powinien dostać tę nagrodę... Ale dzisiaj myślę, że on dopiero teraz ukazał swoją właściwą twarz...*

— *My nie występujemy o karne przeniesienie, nie wyrzucamy go... Nie chcemy też, by go odsunąć od pracy w zawodzie. Chodzi nam tylko o uzdrowienie atmosfery w szkole... Ale jeśli nadal będzie miał z nami pracować , trudno, będziemy pracować.*

— *A może na to „wotum nieufności"* — pyta na koniec jeden z młodszych nauczycieli — *należałoby raczej potrzeć jak na danie szansy przez możliwość zmiany środowiska.*

Andrzej S. nawet nie chce przyjąć do wiadomości takiej sugestii. Pod jej gładkim, kurtuazyjnym obliczem podejrzewa podstęp, bal, niemal pewny jest obłudy tych doradców Uważa, że w ciągu 6 lat pracy w szkole poznał ich nadto dobrze. *Tym razem* — jak twierdzi — *nie da się omamić.* Z drugiej strony dobrze wie, że wniosek Rady Pedagogicznej, nawet rozesłany do Kuratorium, KŁ PZPR i MKZ „Solidarność" „z prośbą o pomoc w realizacji", nie może w świetle obowiązujących przepisów przejść bez jego, Andrzeja S. zgody na rozstanie ze szkołą. A on pożegnać się nie chce, oczekuje sprawiedliwości i uważa, że po jego odejściu w szkole będzie jeszcze gorzej, bo już bez skrępowania zapanują rządy „twardej ręki" dyrektora W. I nawet szkolna „Solidarność", już teraz przecież bojaźliwa, wtedy nie piśnie... Zdaniem Andrzeja S., klika dyrektora „załatwiając" go, „załatwi" wraz z nim „Solidarność". Na amen.

Tymczasem zaczął się nowy rok, ale Andrzej S. nie ma powodów do radości. Koledzy przestali go nawet pozdrawiać, gdy wchodzi do pokoju nauczycielskiego — zapada wymowna cisza. Nauczyciele, rozmawiając o nim, używają słów: „ten pan", „z tym panem". W domu też niesnaski. Żona mówi: — *„A rzuć to-" A on: — No tak, ale ile razy jeszcze mam zaczynać?"*

— *Dla mnie białe było zawsze białe, a czarne — czarne* — zwierza mi się — *I nie rozróżniam kolorów szarych... Może zresztą na moralność patrzę, jak Chińczyk ale jeżeli przez tyle lat umiałem wyrzec się wielu rzeczy...? A cały czas, na hasło „robimy", zakasywałem rękawy...?*

Gdybym był obibokiem, pijakiem, łobuzem, to bym się nie przejmował. Ale 38 lat w tym roku kończę i też chcę się ustabilizować... Lecz jeśli ma to zależeć od czyichś kaprysów i chimer?

Byłem kropelką rozsadzającą skalę... Ale na tę kroplę składało się wiele bakterii — w jego głosie słyszę satysfakcję. — *Myśleli, że będę siedział cicho i przyklaskiwał. A tu proszę, jedno zgniłe jabłko popsuło im całą skrzynkę!*

Ożywienie nie trwa długo. Po chwili wraca ta sama dobrze już mi znana gorycz:

— *Jeśli tak ma wyglądać „odnowa w oświacie", to będę z niej musiał odejść...*

Ja jednak sądzę, że Andrzej S. nie odejdzie.

Nawet z tej szkoły, która pokochała go taką złą miłością. Którą podobnie pokochał i on.

TOMASZ SOLDENHOFF

P.S. Z ostatniej kartki Andrzeja S., datowanej 3 września: „Moja klasa (IV LZ) w dalszym ciągu ma kłopoty z praktykami. Pracowni na Nowotki w dalszym ciągu nie ma, gdyż uczniowie stwierdzają, że po wczorajszych warsztatach, następne zajęcia mają mieć na Radogoszczu. Podobno w Muzeum. Ale co tam jest do konserwowania i w jaki sposób — nikt nie wie. Około listopada mają podobno przejść na Piotrkowską 99 (skąd zostali wcześniej przesunięci). Nikt z uczniów w to nie wierzy. Olbrzymie rozgoryczenie — i awantura wisi w powietrzu, bo nie chcą się zgodzić na taki stan rzeczy. Może artykuły coś rozładują (...) Łączę wyrazy szacunku A. S."

WIZYTACJA

Ryszard Dominiak

Ignacy odczuwa znużenie. Stoi na deskach rusztowania wysoko, bo pod oszklonym dachem fabrycznej hali i kuje w ścianie otwór. Ciemna żylasta dłoń Ignacego zaciska się na trzonku młota. Druga trzyma wbitą do połowy metalową rurkę, z środka której sypie się sproszkowany beton. Napięte mięśnie ramion starego Cholewy drgają rytmicznie a pokrytą proplamj potu twarz wykrzywia grymas wysiłku. Jeszcze jedno uderzenie i ręka z młotem opada bezwładnie. Podobnie głowa. Opada na piersi zmożoną bólem wyprężonego karku. Ignacy odruchowo wyciera, w podwinięty rękaw koszuli, pot. Rozchylonymi ustami wciąga gęste, prawie lepkie od gorąca powietrze. Lipcowe południe wionie żarem. Ciepłe są mury, szkło i metalowe okłucia. Ale stary Cholewa woli upalny dzień lipcowy niż wielostopniowy mróz. Pamięta tę cholerną „zimę stulecia". Niezabezpieczone w porę rury pękały rozsadzane lodem. Ignacy i jego dwaj pomocnicy mieli wtedy pełne ręce roboty .Musieli zabezpieczyć to, co przed miesiącami oddali do eksploatacji, a na co niedoświadczony inwestor nie zwrócił należytej uwagi. Dopiero jak nastąpiła awaria w głównym ciągu pary technologicznej, w fabryce powstało zamieszanie. Usiłowano zwalić winę na wykonawców, na trzyosobową brygadę Ignaca. Ale stary Cholewa był dobrym, mającym doświadczenie fachowcem i bez trudu wykazał kto tutaj zawinił.

Stary Cholewa unosi głowę i mrużąc oczy spogląda w świeżo wykłuty otwór. Od samego rana narasta w nim dziwny niepokój. Nie bardzo zdaje sobie sprawę co to takiego, ale odnosi wrażenie, jakby coś zapomniał ze sobą zabrać, czy coś zrobić. Może właśnie dlatego dłonie Ignaca co pewien czas przetrząsają kieszenie kombinezonu, jak gdyby tam właśnie znajdowała się rzecz, której Cholewa zapomniał. Ignacy odczuwa pragnienie. Szuka wzrokiem bańki z kawą, której jednak nie ma na rusztowaniu. Jest zły na siebie, że wchodząc tutaj nie zabrał jej z sobą. Tak to wygląda, jeśli człowiek zdany jest na własne siły i ma do wykonania tyle różnych czynności, że w pewnej chwili odczuwa własną bezsilność. I jedynie ten tkwiący w nim niepokój tak się dziwnie tłucze po zakamarkach mózgu, że Cholewa unosząc młotek mamrocze do siebie.

— Wszystko to moja wina. Trzeba było postępować z nimi ostro, jak robił to Karbowiak. Tamten nie miał podobnych sytuacji. Jak któryś raz i drugi nie przyszedł, to fora z roboty. Ale Ignacy nie mógł w ten sposób postępować. Zawsze traktował swych pomocników po koleżeńsku, co z biegiem lat wytworzyło między nimi przyjacielską więź. Nazywali go dziadkiem, a często żartowali sobie z niego i opowiadali mu różne świńskie kawały, których później i tak nie potrafił wiernie powtórzyć. Ignacy przywykł do swych pomocników. Nagabywany w sprawie ich dyscypliny przez kierownika odcinka, stanowczo odrzucił sugerowaną przez niego propozycję zwolnienia względnie przeniesienia jednego z nich. Zrozumiał, że decyzja wywołałaby konflikt, a Cholewa był już starym, sześćdziesięcioletnim człowiekiem i dla własnego spokoju wolał, aby między ludźmi nie było zadrażnień a co gorsza — nienawiści.

— Niech już będzie tak, jak jest. — Nie będzie się skarżył na swych pomocników. Za niespełna pięć lat pójdzie na zasłużony wypoczynek i raz na zawsze uwolni się od kłopotów związanych z wykonywanym zawodem. Wtedy będzie naprawdę niezależnym człowiekiem.

Ignacy z rozmachem unosi młot i uśmiecha się do własnych myśli. Trudno to sobie wyobrazić — niezależny człowiek? A jednak! No, nie będzie przynajmniej myślał o tylu różnych ważnych i mniej ważnych sprawach wchodzących w zakres obowiązków brygadzisty. Nie będzie już musiał martwić się w jaki sposób nadrobić opóźnienia, czy wykonana praca odpowiada technicznym założeniom i czy instalacja wytrzyma próbę. Do tych można by powiedzieć zawodowych kłopotów dochodziły jeszcze inne, osobiste. Miał nimi Ignacy nabitą głowę i często tak był nimi przejęty, że nie rozumiał co inni do niego mówią. No tak, jeszcze tylko pięć lat. Ale lata te nie będą należały do łatwych. Z każdym dniem ubywa sił i Ignacy zdając sobie z tej oczywistości sprawę, z niepokojem rozmyśla czy podoła wzmożonemu tempu pracy.

Pod otwarte wrota hali podjeżdża ciężarówka z maszyną. Rozebrani do pasa robotnicy podstawiają drewniane belki, po których maszyna zabezpieczona linami, sunie w dół. Głośne ostrzegawcze okrzyki i wielka, kilkutonowa szlifierka osiada na metalowych rolkach. Ignacy obserwuje krzątających się przy maszynie ludzi i myśli, że mimo olbrzymiego postępu w mechanizacji prac, ciągle jeszcze są takie operacje, przy wykonywaniu których niezbędna jest siła ludzkich mięśni. Przekonał się o tym z praktyki własnego zawodu. Część wykonywanej przez niego pracy z konieczności zrobiona być musiała przy użyciu siły ludzkiej.

I właśnie, gdy tak patrzył na krzątających się w dole, usłyszał swoje nazwisko i w pierwszej chwili zdumiał się. Pomyślał, że jest to chyba złudzenie, bo wśród tych na dole nie dostrzegł nikogo ze znajomych. Dopiero drugi głośniejszy już okrzyk, upewnił Cholewę, że oczywiście ktoś go wzywa, ktoś kto stoi tuż pod rusztowaniem. Wychylił się i spojrzał w tym kierunku. W dole stał i kiwał na niego kierownik odcinka — inżynier Sosnowski, a nieco dalej, w białej koszuli tęgi facet, w którym Cholewa rozpoznał dyrektora naczelnego. Coś zamroziło jego ruchy. Stał nie wiedząc co powinien w takiej chwili uczynić. Wizyta zwierzchników była tak niespodziewaną... Przemógł się. Wyciągnięta ręka Sosnowskiego ciągle dawała znaki niecierpliwe przynaglające. Wtedy wydobył z siebie chrapliwy głos, naznaczony zaskoczeniem i strachem — *idę, no idę już.* Schodził z rusztowania niemrawo poruszając się między metalowymi prętami konstrukcji. Schodził usiłując połapać się w myślach. Nie wiedział co ma przybyłym powiedzieć, jak usprawiedliwić nieobecność tamtych. A sytuacja na prowadzonym przez niego odcinku robót była zła i nic nie zapowiadało poprawy. Zapewne tamci zapytają go, co o tym sądzi, a on będzie bąkał słowa bez pokrycia, jak jakiś gówniarz. Właściwie co on ma na swoje usprawiedliwienie? Żadne argumenty nie przychodzą do głowy więc chyba najlepiej zrobi jeśli nie będzie się usprawiedliwiał. Kiedy dotknął stopami posadzki i wyprostował się, uczuł jak ogarnia go złość. Była to złość ślepa i nienawistna, skierowana na tych jego pomagierów których w tej chwili mógłby bić po mordach. Ale ich nie było, więc złość przeniosła się na przybyłych ludzi. Stali w białych, modnych koszulach i spoglądając mu w oczy uśmiechali się bezczelnie z wyższością. Tak przynajmniej stary Cholewa zrozumiał tę siedzącą w ich wzroku kpinę i aż się zatrząsł ze złości. Zaraz też doszedł do przekonania, że ci dwaj mają nad nim przewagę i nie tylko dlatego, że są zwierzchnikami, ale głównie i to było najważniejsze, że on będąc brygadzistą, samodzielnym pracowanikiem powierzonego mu odcinka robót, nie miał nic do powiedzenia ,aby przynajmniej czymś usprawiedliwić własną bezradność. Stał ,więc zrezygnowany, nie zamierzając nawet wytłumaczyć się przed dyrektorem, który zapewne doskonale orientował się co i jak z tą jego robotą. Stał ocierając brudne dłonie o kombinezon, jakby ta, uparcie powtarzana czynność stwarzała szansę odwrócenia uwagi od sprawy zasadniczej.

Wtedy usłyszał głos, w którym dźwięczała nuta zrozumienia i jeszcze coś, co mogło być współczuciem.

— *Widzę, że sam się pan morduje. No, panie Cholewa, jak to właściwie jest?*

Zdziwił się. Był przygotowany na ostre, dociekliwe pytania, a tymczasem spoglądając mu w oczy naczelny mówi do niego tonem, w którym brzmiała niemal ojcowska troska. Wtedy on kiwnął głową i zaraz poczuł, jak ta tężejąca w nim złość rozprasza się, a on staje się swobodny pewny siebie, tak jakby przed nim stał majster Kwiecień, a nie naczelny.

— *Co tutaj jest do gadania? Pan dyrektor najlepiej wie, od jak dawna Grzegorczyk stara się o mieszkanie. On naprawdę ma trudną sytuację. Więc jak wczoraj otrzymał z urzędu wezwanie...* Powiedział tak i zaraz sam się sobie zdziwił, jak mu te kłamliwe słowa z ust wylatują. Czy rzeczywiście tak było? Doskonale wiedział, jego młodszy pomocnik Grzegorczyk mieszkał razem z teściami, a wiadomo było, że takie wspólne życie wywołuje ciągłe konflikty. Grzegorczyk nieraz zwierzał się Ignacemu, jak to teściowa przygaduje mu, że wydała córkę za łachmytę i gołodupca, a on nie jest jej dłużny w wyrażaniu swej o teściowej opinii Dlatego często dochodzi między nimi do ostrych spięć. Był nawet taki okres, że Grzegorczyk spał w pakamerze dozorcy. Więc kiedy to powiedział dostrzegł jak po twarzy inżyniera pełznie uśmieszek niedowierzania i to podziałało na Cholewę deprymująco. Zaciął się, zmieszał i zmieniając temat dość chaotycznie jął opowiadać jakie to ma trudności z dostawą na czas zaworów i kolanek. Właśnie braki w materiale dezorganizująco wypływają na pracę, opóźniają oddawanie do użytku poszczególnych odcinków robót. Przynajmniej w ten sposób chciał usprawiedliwić się w oczach dyrektora. Ale kierownik odcinka nie tak łatwo przeszedł do porządku nad wywodami Cholewy W pewnej chwili przerwał je głosem ostrym zniecierpliwionym.

— *Cóż też pan wygaduje, panie Cholewa? Brak tego, tamtego... I chce pan, abym ja w to uwierzył? Niech nam pan takich rzeczy nie opowiada, bo zaraz możemy sprawdzić. Powiedz pan wprost, pomocnicy zapili wczoraj i tyle. Powiedzmy, że Grzegorczyk zwolnił się i poszedł do kwaterunku ale co z tym drugim?*

Rozmowa urwała się i ta chwilowo, nie wypełniona niczym cisza znów wywołała u Cholewy uczucie złości. Teraz złościł się na samego siebie, za ten swój tolerancyjny stosunek do pomocników, gdy wczoraj wspomniał im, że należy liczyć się z przyjazdem dyrektora, rechotali bezczelnie jakby było w tym coś zabawnego. Dlatego musi teraz wysłuchiwać uwag Sosnowskiego, który w obecności dyrektora puszy się i wymądrza, jakby wszystkie rozumy pozjadał. A on stary Cholewa stoi jak dureń przed naczelnym i tym drugim, który niby jest inżynierem i kierownikiem robót, ale na robocie tyle samo się zna co Ignacy na gwiazdach. Zrobił krok w kierunku naczelnego i spoglądając mu w oczy powiedział:

— *Robię co mogę ,sam pan widzi.*

Zauważył jak tłuste i czerwone od upału policzki Gortata wykrzywia grymas niezadowolenia, jak jego mięsiste wargi wydymają się jakby dyrektor przeżuwał coś w ustach.

— *Pan najlepiej wie, panie Cholewa, że osobiście do pana jako pracownika nie mamy zastrzeżeń. Cieszy się pan opinią dobrego robotnika, ale to wcale nie oznacza, że nie mamy do was, jako brygady, pretensji.*

Zamilkł na chwilę i wtedy Cholewa dostrzegł, że naczelny ma dziwnie rozbiegane oczy i nawet poczuł się nieswojo. Wydawało mu się przez moment, że jedno oko dyrektora świdruje wzrokiem jego twarz, podczas gdy drugie lustrowało zawieszone pod sufitem hali przewody wentylacyjne. Trwało to tylko chwilę, gdyż Gortat wyciągniętą z kieszeni chusteczką począł wycierać pokryte kroplami potu czoło Kiedy skończył Ignacy spostrzegł, że wzrok dyrektora jest znowu skupiony, zamyślony a nawet, tak się przynajmniej Cholewie zdawało — smutny.

— *Tak tak, panie Cholewa, mamy i mieć będziemy pretensję, bo jest pan odpowiedzialny za wykonanie zadań na tej budowie. Mnie nie interesuje czy zwalnia pan ludzi do urzędu czy kabaretu, bo to jest powiedziałbym, wasza rzecz. Ale obchodzi nas, i to bardzo, terminowo i dobrze wykonana praca.*

Inżynier miętosił w spoconych dłoniach czarną aktówkę. Zwracając się do dyrektora mruknął coś, co miało być wyjaśnieniem, a czego Cholewa nie dosłyszał. Ale Gortat był wyraźnie zdenerwowany, bo na cichy szept Sosnowskiego wrzasnął:

— *Pan znowu swoje! Już piąty raz powtarzam, że mieliście dosyć czasu na sprawdzenie filtrów! Nie przyjmuję żadnych tłumaczeń, rozumie pan. Ta inwestycja musi być oddana dwudziestego pierwszego lipca i pan jest odpowiedzialny za dotrzymanie terminu.*

Inżynier obrócił się gwałtownie. Przez chwilę szukał wzroku Cholewy. Wreszcie mruknął z akcentem groźby w głosie:

— *Słyszał pan! I co wy na to, Cholewa?*

Naczelny stawiając drobne kroczki, zmierzał w kierunku głównego wyjścia, Cholewa szedł za nim, bo wypadało odprowadzić zwierzchnika. A być może dyrektor o coś zapyta? Ale co on w tej sytuacji może powiedzieć? Najwyżej złoży grzecznościową deklarację, że postara się, że zrobi wszystko, aby zakończyć roboty w wyznaczonym terminie. Ale Cholewa nie lubił składać tego rodzaju oświadczeń. Zawsze uważał, że jedyną wartość stanowi wykonana praca, a słowa są tylko środkami do wyrażenia myśli, do porozumienia się. Drepce więc Ignacy obok Gortata i nie mogąc nic wymyślić wyciera wilgotne od potu dłonie w drelichowy materiał kombinezonu. Słyszy głośny oddech naczelnego i przypomina sobie, że ten jego dyrektor miał w ubiegłym roku zawał i że przy jego tuszy i nerwowej pracy w każdej chwili może mu się to powtórzyć. Właściwie żal mu chłopa. Niby że taki jeden z drugim nie pracuje fizycznie, ale za to zmartwień ma co nie miara. Żyje w ciągłym napięciu, a na dodatek wszyscy go wszędzie widzą i zaraz różne głupstwa na jego temat wygadują tak, jakby dyrektor był innym nie posiadającym własnego życia człowiekiem. Również o Gortacie takie różne rzeczy gadali, że niby wyjeżdżając w dłuższe delegacje brał sobie do towarzystwa jedną z pracownic. Miała ta pracownica męża i dzieci, co oczywiście nie miało większego znaczenia, gdyż nikomu się krzywda nie stała. Ale jakiś zazdrośnik napisał anonim i zaczęło się. Ciężko przeżył ludzką zawiść dyrektor naczelny i rozpamiętującemu to zdarzenie Cholewie szczerze żal idącego obok Gortata Nie będzie mu jednak mówił, jaki to ciężki dyrektorski chleb. On sam najlepiej o tym wie. Dlatego, kiedy już byli przy samochodzie i Sosnowski usłużnie uchylił drzwi, powiedział:

— *Ciężkie mamy życie, panie dyrektorze, ale robić trzeba, więc postaramy się, aby był pan zadowolony.*

— *Mam nadzieję, panie Cholewa. Wiem, że mogę na pana liczyć.*

Ściskali sobie przez chwilę dłonie i podczas tej przedłużającej się nieco ceremonii pożegnania Ignacy raz jeszcze zapewnił Gortata, że on i jego chłopcy nie zawiodą.

Samochód ruszył raptownie wzbijając tuman pyłu. Stary Cholewa jeszcze przez moment śledził go wzrokiem Potem splunął i wrócił do przerwanej pracy.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

☆ ☆ ☆

Ciągle szczuci jesteśmy
Wciąż dalej i dalej
W naszych czynach daremnych
W naszych myślach słonych
W naszych słowach dwuznacznych
W snach nieukończonych

Ciągle szczuci jesteśmy
Wciąż dalej i dalej
Z roku na rok w lata
Z czasu do czasu który nie powraca
Z dnia na dzień do godziny
Z sekund do bezczasu

Ciągle szczuci jesteśmy
Wciąż dalej i dalej
Od ognia i od wody
Od łąk i od lasów
Od wiary i od pustki
Od ciszy i gwaru

Ciągle szczuci jesteśmy
Zamyka nas w losie
Nietrafny kupon szczęścia
Zgubiony w kosmosie

☆ ☆ ☆

Tam, gdzie arszenik toczy zjadłe boje.
Tam, gdzie się truje królewski organizm,
Tam, gdzie panuje wszechwładnie onanizm
Słowa — tam serce jest twoje.

Tam, gdzie po wszystko się chodzi gęsiego
Miewając przy tym przydługie postoje.
Tam, gdzie jest ważne nie JAK, a DLACZEGO?
Gdzie mózg umiera — tam myśli są twoje.

Opuść choć trochę z tej twojej ojczyzny.
Przytul do serca upragnienie dłonią.
Zobacz — za tobą jeszcz cienie stoją,
Niezabliźnione nigdy widać blizny.

Przypatrz się dobrze — ktoś umiera teraz
I ktoś się rodzi — komuś serca trzeba
(Dla wszystkich długa jest droga do nieba)
Tu jest placówka i tu miejsce twoje.

TRYPTYK DLA BRATA JACKA NA JEGO XXX—LECIE

Pod nagą czaszką nieba
Coś się może wydarzyć
Na przykład zderzą się dwa tramwaje
Jadące po przeciwległych torach
A jeśli jest to niemożliwe
To i tak zawsze będzie świecił
Przeklęty księżyc
Zresztą najgorzej jest

Obudzić się pod gwiazdami
Nieboskłon zawsze bowiem jest niewydarzony
Tak jak kartki na masło i mięso
Tak jak nasza rzeczywistość
Tak jak nasz długotrwały spleen
Tak jak nasze dzieciństwo

II

Tylu ludzi umarło
Tylu ludzi zginęło
A nie znając ich
Polubiłem
Żegnam Was
Komedo Lennonie
I Ciebie Marku Hłasko
Nie zdążyłem
Ale przecież zdążę w końcu
I gdzieś tam się spotkamy
Gdzie każdy będzie miał duży kufel piwa
I marzenie o innej rzeczywistości
(Ta się nigdy nie zmienia)
I każdy będzie miał psa albo kota
Do wyboru

III

Bracie
Życzę Ci wszystkiego
Najlepszego

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

MIT BOHATERA CZY BOHATER MITU?

1.

Na Wrzesień 39 roku od lat patrzymy rocznicowo. I mimo że już dosłownie kilka pokoleń powojennych zdążyło stać się ludźmi w pełni dorosłymi, mimo że narosło sporo nowych równie tragicznych w swej obiektywnej wymowie zdarzeń zasługujących na wieczną pamięć. Wrzesień jawi nam się jako wydarzenie, które miało miejsce jeszcze nie tak dawno, przysłowiowo nieomal wczoraj. Wynika to zapewne z faktu, iż wszystko co się wtedy zdarzyło, w ówczesnej świadomości społecznej jeszcze raz przekreślało z takim trudem wywalczony niepodległy byt państwowy. Nic też dziwnego, iż w tym momencie załamała się cała dotychczasowa społeczna świadomość polityczna, przekreślone zostały w sposób jednoznaczny formy ustrojowe, z całą pewnością nie najdoskonalsze, z którymi jednak społeczeństwo po stu pięćdziesięciu latach rozbiorów wiązało największe nadzieje wierząc, iż gwarantują one samodzielny byt narodu oraz wyznawane racje polityczne.

A przecież na dobrą sprawę Wrzesień był tylko epizodem otwierającym sześć lat wojny, a dla nas szczególnie sześć lat okupacyjnej hetakomby. Tak samo zresztą jak liczący się epizodami w kategoriach polskich wydarzeń wojennych, tragicznych klęsk i heroicznych sukcesów były: bitwa o Anglię, Narwik, Tobruk, powstanie w getcie warszawskim, bitwa pod Lenino, Monte Cassino i wreszcie jakby zamykające to wszystko najtragiczniejszą klamrą powstanie warszawskie. W powstaniu warszawskim miał się powtórzyć w niesłychanym skrócie dramat Września, jeszcze jedno potwierdzenie, iż dwudziestolecie międzywojenne w kategoriach politycznych stanowi zamkniętą kartę i to w sposób nieodwracalny.

Ale to właśnie Wrzesień i powstanie warszawskie miały się stać dwiema naszymi największymi prawdami o wojnie, okrucieństwie, heroizmie, odwadze, klęsce i przegranej. A równocześnie największymi mitami w historii. Mitami, którymi miały się karmić kolejne pokolenia, tak jak pokolenia Września i powstania warszawskiego karmiły się wielką romantyczną tradycją patriotycznych zrywów powstańczych dziewiętnastowiecznego wieku. Tylko że wielki mit walki zbrojnej ubiegłego stulecie miał swoją wielką literaturę, która potrafiła wykreować wzorce bohaterów — postaci historycznych, służących za wzór kolejnym pokoleniom młodzieży. Realizowała się wówczas w pełni społeczna rola bohatera w integrowaniu i wychowaniu pokoleń. Spełniało się to, co Józef Chałasiński zawarł w stwierdzeniu, iż *...duszpasterze narodu, jakimi są poeci, pisarze, artyści, historycy, a w pewnej mierze i uczeni, tworzą wizję wielkości narodowej na potrzeby wychowania młodych pokoleń. Jako duszpasterze nie interesują się prawdą historyczną tego, co przeminęło, lecz moralną wielkością tego, co być powinno. Z tego punktu widzenia kształtują postacie historyczne tak, aby mogły służyć za wzór młodzieży.*

Mit Września nie znalazł w literaturze swojego wielkiego anonimowego bohatera, którym by się mogły karmić przyszłe pokolenia. A przecież to właśnie Wrzesień miał swoich wielkich bohaterów i to jak najbardziej żywych — jak choćby major Sucharski czy Hubal — którym jednakże literatura nie dała szansy ulec pełnej mitologizacji. Bo jeśli Westerplatte, półwysep helski, Modlin, sama Warszawa, a wreszcie wielka i to zwycięska bitwa armii dowodzonej przez generała Kleeberga, przyrównywano w eseistyce do bitew z dziejów starożytnej Grecji, to ich imienni bohaterowie doczekali się na tyle nikłej hagiografii, iż nie udało im się przejść do codziennej świadomości tych pokoleń, dla których kampania wrześniowa jest już dziś taką samą historią jak powstanie listopadowe czy styczniowe Stanowi po prostu opowieściową rodzinną tradycję. Nawet dla pokolenia „urodzonego przed powstaniem Polski Ludowej", dla którego „Wrzesień i Polska międzywojenna, lata wojny są już tylko wspomnieniem dzieciństwa lub zbiorem informacji uzyskiwanych z drugiej ręki". I to mimo, że o wrześniowych wydarzeniach pisano niemal na drugi dzień, zaraz po zamknięciu tej nowej jakże bolesnej karty historii. To przecież jeszcze we wrześniu *Antoni Słonimski* pisał jeden z najbardziej patetycznych w naszej poezji wiersz *„Alarm"*:

Słyszę szum nocnych nalotów.
Płyną nad miastem. To nie samoloty.
Płyną zburzone kościoły,
Ogrody zmienione w cmentarze,
Ruiny, gruzy, zwaliska,
Ulice i domy znajome z dziecinnych lat,
Traugutta i Świętokrzyska,
Niecała i Nowy Świat.
I płynie miasto na skrzydłach sławy,
I spada kamieniem na serce. Do dna.
Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
Niech trwa!

A w zaledwie kilka miesięcy później, już na emigracji w Paryżu, jeszcze raz powtórzy swoje wezwanie do mieszkańców okupowanej stolicy w wierszu *„Warszawa"*:

Wołam Cię głosem nabrzmiałym łzami
Przez radio Paryż, radio Toulouse,
Dumna Warszawo, zryta kulami,
Zżarta pożarem, zwalona w gruz.
O, jak surowo w dymów pomroce
Patrzysz oczami wybitych szyb.
I wiem, już nigdy warszawskie noce
Nie wrócą dla nas zapachem lip.

I nigdy z sercem wiernym i czystym
Już nie zapukam do Twoich wrót,
Bo znajdę tylko w mieście ojczystym
Kamień i wzgardę, gruzy i chłód.

Chociaż się zrosną Twych ruin blizny
I z krwi obeschnie ulic Twych bruk,
Lecz słońce rzuci cień od Ojczyzny,
Cień, co się mrocznie ściele u nóg.

Pamiętamy, że równocześnie *Konstanty Ildefons Gałczyński* napisał wiersz *„Pieśń o żołnierzach z Westerplatte,"*, datowany 16 września 1939 roku, w przeddzień niewoli i ogłoszony w konspiracyjnej antologii *„Słowo prawdziwe"* wydanej w Warszawie w 1942 roku:

Kiedy się wypełniły dni
I przyszło zginąć latem,
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte.

(A lato było piękne tego roku.)

I tak śpiewali: — Ach, to nic,
że tak bolały rany,
bo jakże słodko teraz iść
na te niebiańskie polany.

(A na ziemi tego roku było tyle wrzosu na bukiety.)

W Gdańsku staliśmy tak jak mur,
gwiżdżąc na szwabską armatę,
teraz wznosimy się wśród chmur,
żołnierze z Westerplatte.

Niemal równocześnie *Władysław Broniewski* skreślił *„Żołnierza polskiego"*, jakże często przedrukowywanego i recytowanego przy różnego rodzaju okazjach.

Oczywiście wierszy o Wrześniu powstało w tym czasie dużo więcej. Utrwalały one z jednej strony ówczesne najczęściej pesymistyczne nastroje poetów przeżywających klęskę kampanii wojennej, z drugiej zaś miały one mimo wszystko na swój sposób podtrzymywać na duchu rodaków znów „podbitego narodu":

Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
o czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszcza?
Jak czołg przetoczył się Wrzesień ziemi ojczystej przez piersi,
a moja dłoń jest bezbronna i bezbronna jest ziemia ojczysta.

2.

A jednak nie był to już czas kreacji wielkich bohaterów przez poezję. Należało to do prozy. Na nią spadł całkowicie obowiązek kreowania bohaterów Września. I to jeszcze zanim miały ukazać się pamiętniki i wspomnienia oraz naukowe studia biomonograficzne. W tym miejscu dotykamy istoty materii naszych rozważań. Bo jeśli powieść miała dokonać odkrycia i utrwalenia w społecznej świadomości wielu pokoleń bohatera Września, to dziwić nas musi, iż mimo ogromu tej prozy, zadanie to mimo wszystko nie zostało w pełni zrealizowane. Owszem, jesteśmy w stanie wymienić dziesiątki nazwisk i tytułów książek o Wrześniu, tyle tylko że żadna z tych książek nie ukazuje nam pełnego bądź to fikcyjnego bądź autentycznego bohatera tamtych dni. Tylko że gdzie szukać przysłowiowego błędu w sztuce? Dlaczego nagle, po latach, okazuje się, że ani *„Września" Putramenta*, ani *„Z kraju milczenia" i „Lotna" Żukrowskiego czy „Sprzysiężenie" Kisielewskiego* i *„Polska jesień" J.J. Szczepańskiego*, nie spełniają tego zadania?

Myślę, że wiele się na to złożyło czynników i to tak różnych, że nie dających się wyczerpać już nie tylko w jednym artykule, ale nawet i książce. Świadczy o tym najwymowniej praca Stanisława Rogali: „Echa Września 1939 w polskiej prozie literackiej w latach 1945—1969". Pracy podejmującej uszeregowania i uzasadnienia tylko części czynników i to jak się okazuje w większości pozaliterackich, które zadecydowały o klęsce powieści o Wrześniu.

Oczywiście, jak to bywa z tego rodzaju książkami, adresowana do profesjonalistów (zresztą jej nakład wynosi 5 tys. egzemplarzy), nie będzie ona lekturą szerokiego kręgu czytelniczego, który chętniej sięgać będzie po samą powieść, w niej szukając obrazu wrześniowej tragedii oraz na równi pozytywnych jak i negatywnych bohaterów. A właśnie ci bohaterowie są najbardziej kontrowersyjni, najczęściej nie oddający w pełni rzeczywistych portretów psychologicznych ludzi z tamtych dni. Tylko że jako się rzekło, nie można za to winić samych pisarzy. Po prostu zemściła się na nich ich własna biografia, ich chęć ukazania nie tego co rzeczywiście widzieli, myśleli i czuli w tamte wrześniowe dni, ale to co później chciano, aby widzieli, myśleli i czuli. Jednym słowem intencja wymowy politycznej przesłoniła prawdziwy obraz, który raz uległszy skrzywieniu, nigdy już nie został poddany choćby próbie obiektywnego oglądu. Stąd mit bohatera przekształcił się w bohatera mitu, który służyć miał niesłychanie doraźnym celom politycznym. I tutaj należałoby się dopatrywać przegranej tej powieści, a co z tym się wiąże, niemożności wykreowania wielkiego bohatera Września, stworzenia portretu, którym mogłyby się karmić kolejne pokolenia czytelników.

Dziwić to musi tym bardziej, gdy uświadomimy sobie, że właśnie Wrzesień takich wielkich, niejednokrotnie anonimowych bohaterów posiadał. Inna sprawa, iż w większości przypadków ich czyny bohaterskie brały dopiero początek w kampanii wrześniowej. Po prostu w większości wypadków życiorysy ich się wówczas nie urywały, ale rozpoczynały na dobre.

Tylko że na sprowadzeniu wszystkiego do Września zadecydowało w dużej mierze traktowanie początków wojny nie jako epizodu wielkiej sześcioletniej epopei, ale jako czegoś całkowicie zamkniętego. Wynikało to z faktu, że większość pisarzy widziała we Wrześniu jedynie konsekwencję uprawianej przez sanację polityki w ostatnim dziesięcioleciu poprzedzającym wojnę. I nawet jeśli prawdą jest, iż dla większości społeczeństwa wszystko to co się wydarzyło we wrześniu 39 roku stanowiło nieodwracalny szok psychiczny, to równocześnie pamiętać, należy, iż bardzo szybko to samo społeczeństwo otrząsnęło się z tego szoku, czego dowodem jest kontynuowanie walki z okupantem hitlerowskim.

Wszystko to oczywiście są tylko truizmy, bez których jednak nie sposób zrozumieć dlaczego powieść dotycząca Września mimo najlepszych chęci ze strony pisarzy musiała doznać częściowej klęski, nie satysfakcjonując w pełni ani czytelników, ani tym bardziej krytyków. Inna sprawa, że to właśnie krytycy przyczynili się najbardziej do tej klęski. To krytycy żądali najpierw od powieści dość wycinkowego, jedynie politycznego rozrachunku z międzywojenną przeszłością i to kosztem prawdy psychologicznej bohaterów. A później przedkładając prawdę psychologiczną. Tylko że kiedy postawili na ten drugi wariatn, było już za późno. Po prostu nowe wydarzenia i to jakże brzemienne w skutki, nakazywały tym samym pisarzom zaniechania powrotu do tematu, który w ich odczuciu został dla nich całkowicie wyczerpany. I jedynie Putrament w wiele lat po napisaniu „Września" jeszcze raz powrócił do tej samej tematyki w *„Ucieczce"* — książce otwierającej wielki cykl powieściowy *„Wybrańcy"*.

Jednakże w ten sposób właśnie Wrzesień dający wielką i niepowtarzalną szansę naszej literaturze karmiącej się od czasów Romantyzmu mitem bohatera, jako temat został zaprzepaszczony. A jak to kiedyś pisał w „Wyznaniach uduszonego" Kazimierz Wyka, dzieła te nie powstały jak wiele innych „wskutek okoliczności dziejowych".

3.

Stanisław Rogala analizując przyczyny klęski powieści o Wrześniu, zastrzega się, iż zrezygnował „z oceny wartości typowo estetycznych" chociaż „stanowiły one w tym wyborze kryterium zasadnicze, zwłaszcza że w dużej mierze zadecydowały o czytelniczym powodzeniu". Dodałbym więcej, sukces „Z krainy milczenia" Żukrowskiego czy „Polskiej jesieni" Szczepańskiego zawiera się właśnie w wartościach artystycznych tych utworów. Mit bohatera bowiem uprawomocnia walor nie tylko poznawczy, nie tylko prawdy psychologicznej, ale też i wartości wyrazu artystycznego.

A jak się, okazuje w większości wymienionych i analizowanych przez Rogalę utworów, walor artystyczny odgrywał najmniejszą rolę. I co smutniejsze, nie wiązało się to z brakiem talentu pisarskiego, ale z chęcią doraźnego służenia narzuconemu odgórnie czysto politycznemu nakazowi. W ten sposób ukazywana została tylko część prawdy. Jednakże jak wiemy, część prawdy jest takim samym kłamstwem jak całe kłamstwo. Nic też dziwnego, iż mimo najlepszych chęci ze strony pisarzy, powstawały dzieła kalekie, w których nie zawsze autentyczne poglądy polityczne twórcy brały górę nad prawdą psychologiczną kreowanych postaci.

Dzisiaj coraz bardziej wybiórczo jest znana lektura powieści o Wrześniu, ściśle zresztą związana ze wznawianiem poszczególnych tytułów. A przecież nie wszystkie książki wytrzymały próbę czasu. Ileż z nich uległo całkowitemu zapomnieniu, a ile też z przyczyn doraźnej polityki wydawniczej mimo walorów poznawczo-artystycznych po prostu nie jest wznawiane. Jak choćby *„Sprzysiężenie" Kisielewskiego*. I tak oto nowe zastępy młodych czytelników coraz mniej mogą się dowiedzieć o Wrześniu z powieści. Smutniejsze jest to tym bardziej, że pisarze powojennych już pokoleń niejako „obdarowywani" nowymi i to jakże dramatycznymi wydarzeniami, po prostu nie mają czasu sięgać do tematu Września. A może historia nazbyt dużego doznała przyspieszenia i mimo że od wojny dzieli nas zaledwie trzydzieści sześć lat, wszystko co się wówczas wydarzyło stanowi już taką samą odległą przeszłość jak liczące się wydarzenia dziewiętnastego wieku. Jedno jest pewne, polski Wrzesień nie doczekał się w naszej literaturze liczącego się mitu bohatera. I będąc codziennym faktem w naszej świadomości, równocześnie poznawany jest nie poprzez wielką powieść dziś już na swój sposób historyczną, ale literaturę faktu czyli pamiętniki, wspomnienia i prace naukowe. A przecież świadków tamtych wydarzeń jest coraz mniej. Czyżby potrzeba nam było jeszcze sporego upływu czasu, aby tak jak dzisiaj powstają liczące się powieści o wieku dziewiętnastym czy nieco bliższym dwudziestoleciu międzywojennym, narodziła się wielka uogólniająca epopeja o Wrześniu, w której bohater mitu przeobraziłby się z powrotem w mit bohatera? Póki co, zadowalać się musimy tym czym obdarzeni zostaliśmy dotychczas.

I pogodzić się musimy, iż „żołnierski Wrzesień literacki, i nie tylko literacki, pozbawiony został już od samego początku swoich niezaprzeczalnych wartości — wojskowego trudu".

Stanisław Rogala: Echa Września 1939 r. w polskiej prozie literackiej w latach 1945—1969. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1981 r. s. 277.

PRZY OKAZJI...

Przy okazji lektury powieści **Władysława Orłowskiego „Dynastia bez herbu"** nasuwa się parę spraw natury ogólniejszej.

Po pierwsze: jest to powieść z konkursu (nagrodzona), a więc prowokowałaby do postawienia pytania o dalszą celowość instytucji konkursów literackich, których niebywały wprost rozkwit obserwowaliśmy w ostatnich latach. Ambicją niemal każdego z czterdziestu dziewięciu województw stawało się jeśli nie utworzenie odrębnego oddziału Związku Literatów Polskich to przynajmniej posiadanie własnych festiwali, konfrontacji, dni, a przede wszystkim konkursów literackich. A jak jest obecnie? Ilość ich nie zmniejszyła się raptownie, lecz dało się zauważyć pewne nowe zjawisko — prawie nigdy nie przyznaje się już pierwszej nagrody. Co świadczyć może (choć nie musi) o próbie rewaloryzacji instytucji konkursu. Bo przecież równie dobrze może być wyrazem zwykłych dążeń oszczędnościowych.

Po drugie: powieść pisana była niejako na tematyczne zamówienie złożone przez mecenasa, jakim był organizator konkursu. Najogólniej mówiąc chodziło o wykazanie (czy też potwierdzenie) ścisłych związków literatury z życiem społecznym, o zilustrowanie przy pomocy utworu literackiego przemian, jakie stały się udziałem naszego narodu w ostatnich dziesiątkach lat. Tu dotykamy problemu istotnego i trudnego do zdecydowanego rozstrzygnięcia: czy wolno i w jakim stopniu wprzęgać literaturę do usługowego wobec innych spraw rydwanu? Mówiąc nieco inaczej i w modnym dziś stylu: na ile można literaturą manipuować? I na ile może literatura manipulować swoim odbiorcą? Problem nie wyniknął teraz, po prostu został przypomniany w chwili, gdy wszystko chcemy w Polsce porządkować. Porządkowanie literatury ma swoje hierarchie, niekoniecznie pokrywające się z domenami innych dziedzin. Niezależnie od kryteriów musi być w znacznym stopniu elastyczne, dopuszczać wielość punktów widzenia, uwzględniać gry różnych sił. Najgorzej przysłużyć się może literaturze dogmat i upór.

Po trzecie: książka, która stała się punktem wyjścia do napisania tych uwag, powstała w czasie, kiedy o prawie wszystkim decydowała „jedność moralno-polityczna", dopuszczająca jeden tylko punkt widzenia. Również na sprawy, o których pisze Orłowski.

A pisze on o sprawach robotniczych, o dziejach rodzin, dziejach burzliwych, bo burzliwe są przecież czasy, w których przyszło żyć nam, naszym ojcom i dziadom. Na szczęście autor „Dynastii bez herbu" ustrzegł się większości ograniczeń i wymagań „minionego okresu". Dał książkę rzeczową i rzetelną, powiedział dużo o sytuacji co najmniej trzech pokoleń. Co nie znaczy, iż udało mu się wszystko. Myślę, że gdyby był bogatszy o doświadczenia kilkunastu ostatnich miesięcy przedstawiłby wiele kwestii inaczej. Przede wszystkim nie zamykałby swej sagi w taki sposób, jakby wszystko już było zakończone, zapięte na ostatni guzik, a świetlana przyszłość stała się wszechobecna. Może zabrzmiało to zbyt ironicznie i trochę krzywdząco, ale zawiniła tu sytuacja. Bo gdy się czyta książkę Orłowskiego dziś, w kilka lat po napisaniu, chciałoby się znaleźć w niej natychmiast ciąg dalszy, opis i wyjaśnienie wydarzeń które zyskały miano kolejnej polskiej odnowy. Warto więc zgłosić od razu postulat pod adresem autora: czekamy na ciąg dalszy. Po prostu bez niego dzieje robotniczych rodzin (i nie tylko) pozostaną niepełne.

Zasługująca na podkreślenie rzeczowość „Dynastii bez herbu" służy w pierwszym rzędzie wydobyciu typowości robotniczych rodzin. Niemałą rolę odgrywają w tym względzie łódzkie realia, doskonale autorowi znane. Tak więc wartość poznawcza tej powieści godna jest uwagi, jakkolwiek — rzekłbym — trochę uładzona i nie wykorzystująca wszystkich możliwości. Lecz autor ma do tego prawo i by uniknąć nieporozumień, zdaje z tego przed czytelnikiem sprawę. Powiada: „Jest dobrym prawem tej opowieści, że podróż w czasie odbywa z różną szybkością, czasem kilka lat brzemiennych w wydarzenia kwitując paru zdaniami, to znów zwalniając tempo, by szczegółowo zrealacjonować pozornie mało znaczący, krótki wycinek losów ludzkich". Wszelako pozostaje dobrym prawem krytyka czy recenzenta nie tylko ogląd własny, ale i możliwość „przyczepiania się". Skorzystam więc z tego i powiem, iż nie w pełni przystaje reklamujący książkę tekst z ostatniej strony okładki do zawartości treściowej powieści, zdarzają się błędy techniczne (vide str. 134). Są to jednak uwagi pod adresem wydawcy.

Przy okazji lektury powieści Władysława Orłowskiego przyszło mi też na myśl, że ciągle jeszcze łatwiej w Polsce Ludowej napisać sagę chłopską niźli robotniczą. Może dlatego, iż o wsi pisują głównie autorzy o chłopskim rodowodzie, a do robotniczych dziejów zabiera się z reguły „zgniła inteligencja". W latach pięćdziesiątych na przykład wielu pisarzy podejmowało pracę w fabrykach, aby dać z pierwszej ręki obraz „klasy robotniczej". Efekty? Mierne zgoła. Parę produkcyjniaków, albo milczenie. Jeśli zaś pisarze jeździli na wieś, to nie po to, by chodzić za pługiem, tylko namawiać do kolektywizacji.

Tak więc robotniczy temat w dalszym ciągu czeka na swych bardów. Wydaje się nawet, że dziś należałoby go podjąć z większą jeszcze pasją niż kiedykolwiek dotąd.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Orłowski, Dynastia bez herbu. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1981, s. 190, nakład 9 700+300 egz., cena zł 25. —

STREFA CISZY

rozmowa ze ZBIGNIEWEM ZAPASIEWICZEM

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ: „Coraz częściej myślę o tym, jak to się wszystko skończy". Foto: Z. Sokołowski

Pałac Kultury. Teatr Dramatyczny. Na drzwiach garderoby trzy wizytówki: Zbigniew Zapasiewicz, Andrzej Szczepkowski, Gustaw Holoubek.

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ: Zawsze przychodzę tu godzinę wcześniej. Jest cisza. Nikogo wtedy nie ma. Siedzę i gram sam ze sobą w kości. Gdyby nie pan, dzisiaj grałbym również.

MAREK MILLER: Przyszedłem uaktualnić wywiad, który zrobiłem z panem w lipcu 1980 roku.

— J stem przeciwko płaskiemu rozumieniu aktualności — że aktualne to jest to, co jest świeże. To co jest świeże dziś, jutro wyrzucamy do śmieci. Dla mnie aktualne jest to, co jest dziś dobre i co jeszcze jutro będzie interesujące. Dlatego drażni mnie wszelka powierzchowność, koniunkturalna doraźność, na przykład żeby już dziś, natychmiast, wystawiać sztuki na temat odnowy. A przecież rzeczywistość nigdy nie jest sztuką wprost. I dlatego, moim zdaniem, „Król Lear" ustosunkowuje się lepiej i głębiej do upadku władzy, niż pierwsze strony gazet. Teatr nie jest instytucją powołaną do tego, żeby iść w pierwszym szeregu, bo on nie daje się traktować instrumentalnie. Również nie wiemy dlaczego nasze środowisko miałoby się stać nagle takie rewolucyjne? Zawód aktora, zawsze związany był z kontrą w stosunku do rzeczywistości i nie potrzebuje sztucznie dobranych protez.

— A jednak jest pan w teatrze przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność".

— Obdarzyłem „Solidarność", jak większość Polaków, swoją nadzieją. Po raz pierwszy w życiu zaangażowałem się w coś, co jest poza zawodem. Nie znaczy to jednak, że istnieje w tym co powiedziałem, jakakolwiek sprzeczność. Jestem po prostu za wartościami rzeczywistymi, trwałymi w teatrze.

*

Wróciłem właśnie ze „strefy ciszy". Jezioro, chmury i sosny jak przed rokiem. Jego jednak tym razem nie było. Została tylko nagrana taśma. Tablica wkopana na przystani w Gibach: „Zabrania się pod karą grzywny do 1.500 złotych stosowania silników spalinowych do łodzi, urządzeń nagłaśniających i radia w sposób uciążliwy oraz wszelkich sygnałów dźwiękowych. Zarządzenie nr 2/78 w Suwałkach". Wiosłową łódką wypływamy na środek jeziora Pomorze. Ptasi rezerwat. W szuwarach perkozy, dzikie kaczki, łabędzie — jedno z niewielu tego typu miejsc na Mazurach.

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ: Przez całe dotychczasowe życie nie miałem miejsca, w którym byłbym izolowany. Nigdy własnego pokoju, zawsze z kimś. Może dlatego tęsknię za takimi miejscami i dobrze w nich wypoczywam.

— Co to znaczy w pańskim zawodzie być zmęczonym?

— Ten stan przypomina wyładowany akumulator. W pełni zdaję sobie z tego sprawę dopiero tutaj, kiedy się człowiek przyjrzy środkowi, własnemu wnętrzu — chwila refleksji o wyoraniu psychicznym. W codziennym zabieganiu przyłapuję się na tym, że próbuję na siłę udowodnić sobie i ludziom, którzy są ze mną, że jestem nie zmęczony, normalny — wygłupiam się. Ale czuję, że to jest zagrane. Jestem wtedy strasznie roztargniony i nie umiem nawiązać kontaktu z drugim człowiekiem. Z drugiej strony cierpię na przesyt ciągłego obcowania z żywymi ludźmi i z fikcyjnymi, których muszę przez swoją psychikę przepuścić. Ciągle z kimś rozmawiam. Widzę te twarze: zadowolone, oburzone, speszone, przerażone, lekceważące — najróżniejsze. Ciągle ktoś coś ode mnie chce. Ciągle ten telefon w domu dzwoni. Czy pan może to...?! Czy pan może tamto..?! A ja nie mogę! Nie mogę! Dlatego uwielbiam być sam i nie znam wtedy poczucia nudy. Praca w takim młynie wymaga olbrzymiego skoncentrowania i w którymś momencie przychodzi myśl, że kolejnemu zadaniu już nie zdołam sprostać, ponieważ nie starczy sił i pomysłów. I to jest właśnie moje zmęczenie. Bardzo często robię coś siłą bezwładu — tym, że to umiem robić. Ale zadziwiające, bo zdarza się, że rzecz zrobiona w fazie psychicznego zmęczenia wybucha jako sprawa niesłychanie artystycznie efektowna. „Barwy ochronne" — najlepszy mój film, zrobiłem właśnie lewą ręką.

— Co pan czyta? Jakie lektury mają dla pana znaczenie?

— Późnym wieczorem, jeśli mam chwilę czasu, skupić się nad poważną książką jest bardzo trudno, bo już sam fakt miedlenia się różnych tekstów po głowie i sytuacji w których się znalazłem grając... nagły powrót do rzeczywistego życia staje się jakimś obcym, kolejnym światem. Pomimo tego staram się czytać. To czytanie jest jednak w jakiś sposób ukierunkowane. W zasadzie odszedłem od beletrystyki. Jednym z powodów jest fakt, że stałe przebywanie w świecie fikcji powoduje chęć ucieczki ku dokumentowi, ku czemuś, co nosi znamiona autentyzmu. Przez ostatnie lata bardzo staram się zrozumieć wszystko to, co dzieje się od strony pojedynczego człowieka w naszym kraju. Jak ludzie o sobie myślą, jak myślą o tym, co ich otacza... Dlatego reportaż społeczny, pamiętniki, biografie, niezależnie od tego, czy jest to czasopiśmiennicze czy książkowe, bardzo mnie ciekawi i pociąga. Często nas, aktorów, traktuje się tak, że występujemy po to, żeby się podobać i na tym koniec. Natomiast cała warstwa faktu, że wielu z nas miałoby dużo do powiedzenia na przykład w rozmowie serio z socjologiem, jest pomijane. A przecież my mamy na co dzień do czynienia z pewną reprezentacją społeczną, z publicznością. Obserwujemy, jacy oni są. Jak reagują na określony typ żartu. Co ich boli. Co ich powinno śmieszyć, a nie śmieszy, co ich powinno poruszać, a już nie porusza, co jest ciągle jeszcze żywe, a co umarło. Cały ten zespół zagadnień jest w naszym zawodzie niebywale namacalny. Dlatego przy lekturach interesują mnie jednostkowe opisy zachowań ludzi w określonych sytuacjach. Jeżeli czytam reportaż Kozickiego, Hanny Krall czy Kapuścińskiego, to pomimo tego, że oni nie mają ambicji docierania do wnętrza człowieka, to jest tam taka masa szczegółów, najróżniejszych drobiażdżków, o tym, jacy my, Polacy, jesteśmy, że zawsze znajduję coś dla siebie. Natomiast, jeśli czytam pamiętniki de Gaulle'a, Hoessa czy Modrzejewskiej, a potem czytam inne książki o tych ludziach, to jest to dla mnie niebywałe doświadczenie mówiące o tym, że człowiek nigdy nie umie odpowiedzieć na pytanie, kim jest naprawdę. Ja również nigdy nie potrafiłem zadowolić dziennikarza, który pytał: Jaka rola jest panu najbliższa? Bo ja nie wiem. Teraz jestem inny dla pana na tej łódce, inny będę dla żony, kiedy wrócimy z przejażdżki — może będę się wygłupiał i udawał psa — nie wiem.

— Czy zdarzyło się panu wykorzystać lektury już bezpośrednio w pracy nad rolą?

— Zagrałem księcia Himalaj w „Operetce" Gombrowicza. W okresie prób cały czas miałem problem, jak odwiązać się od tego, co zrobił Mieczysław Voit w przedstawieniu Dejmka. W Łodzi kilkakrotnie widziałem ten spektakl. Długo myślałem od czego wyjść i nagle przyszedł mi do głowy „Cesarz" Kapuścińskiego, to znaczy, że upadek księcia Himalaj to jest coś z tego. Przecież nie trzeba kłaść akcentu na akt pierwszy, bo nie zgodzi się wtedy z następującą później rewolucją. Trzeba natomiast spojrzeć najpierw na akt trzeci, że przecież ważny jest upadek tego pana i jego świata, bo jeśli coś ma upaść, to musi najpierw istnieć, jeśli upada coś, co nie istnieje to nie jest ciekawe. Czyli, że książę Himalaj to jest ktoś żyjący w określonej formie w pewnym sztafażu, w pewnym stereotypie zachowań. I nagle to runęło i facet okazał się nagi. Właśnie to niezwykle skojarzyło mi się z „Cesarzem" Kapuścińskiego, bo ta książka jest również o upadku człowieka, który do końca stara się zachować formę.

— Z postacią Ryszarda Kapuścińskiego zetknął się pan już realizując film „Bez znieczulenia". Co pan sądzi o nim jako jego czytelnik?

— Ryszard Kapuściński należy do tego kręgu ludzi, do których ja chciałbym należeć. To znaczy, że w jego pracy jest element bezinteresowności, to, co ciągle jest u nas niedoceniane czy wręcz lekceważone, a nie da się tego przeliczyć ani na pieniądze, ani na zaszczyty, ani na sławę, na żadną doraźną korzyść. Przecież on nie musi się narażać — robi to bezinteresownie, ta cecha wyróżnia każdego człowieka, który tworzy jakąś trwałą wartość. On ciągle próbuje pójść o krok dalej, mimo tego, że ów krok nie jest niezbędny i przez nikogo nie wymagany. Jeszcze przystąpię do partyzantów! No, dobrze ale jak już tam jestem, to wezmę udział w bitwie, a jak już wziąłem udział w bitwie, to jeszcze zrobię ten krok i spróbuję przejść na stronę nieprzyjaciela i zobaczyć to, co się dzieje, jego oczyma.

Chciałbym zachować w sobie podobną postawę, to znaczy robić lepiej, niezależnie od tego, że zrobione gorzej również będzie wartościowe.

— Co pan sądzi o swoich rozmowach z dziennikarzami?

— Nasza rozmowa ma charakter specjalny, bo pan rozmawia ze mną niejako prywatnie, próbuje mnie wyskrobać, jaki ja jestem bardziej jako człowiek, niż jako zawodowiec. Natomiast większość rozmów, jakie prowadzę z pana kolegami, ma postać o wiele bardziej instrumentalną. Wbrew pozorom, to, co ja robię, i to, co pan robi, ma wiele punktów stycznych — trzeba to po prostu umieć zagrać. Przecież w końcu siedzimy w łódce na środku jeziora i niby rozmawiamy prywatnie, jak dwaj ludzie, którzy spotkali się przypadkowo na urlopie. Ale tak naprawdę to między nami leży magnetofon i rozmawiamy nie dla siebie, a dla czytelników. Uprawiamy coś w rodzaju teatru.

— Widzi pan jeszcze inne punkty styczne?

— Musiał pan mnie znaleźć i wsadzić na łódkę, a więc pokonanie pewnego stresu, w końcu mogłem się nie zgodzić. Podobnie jest z aktorstwem. Przynajmniej u mnie, bo w momencie, kiedy zaczynam się zastanawiać, dlaczego ten zawód wybrałem, dochodzę do wniosku, że wyniknęło to z chorobliwej wręcz nieśmiałości, na którą cierpiałem jako młody dorastający mężczyzna. Dla mnie wejście do pokoju, w którym siedziało dziesięć osób, stawało się piekłem, nawet jeżeli to była moja rodzina. Dlatego zawsze starałem się przychodzić pierwszy żeby nie było: O, Zbyszek, jak ładnie ubrany! bo to mnie strasznie deprymowało. Dopiero wspinając się po górach zrozumiałem jak z tego wybrnąć. Do kiedy jest się związanym z kimś jedną liną na stromej ścianie, to nie ma czasu na kompleksy i nieśmiałości. Najprawdopodobniej instynkt podszepnął mi ten zawód, który zmusił mnie do ujawniania publicznie emocji, często ekstremalnych. Postawienie się w sytuacji definitywnej i nieodwołalnej pozwoliło przezwyciężyć ów stres.

— Jest taka teoria która mówi że dziennikarstwo to substytut nie spełnionego życia samego dziennikarza, że pisze on o ludziach, którymi sam chciałby być, o sprawach, które sam chciałby przeżyć. Czy nie jest podobnie z aktorami?

— Genetycznie w człowieku zakodowane są możliwości przeżycia każdego stanu emocjonalnego i każdego wydarzenia. To znaczy, każdy człowiek potencjalnie jest zdolny do nienawiści, zazdrości, miłości, namiętności. Każdy człowiek może stać się mordercą czy namiętnym kochankiem. Tylko, że nie zawsze fabuła życia tak się układa aby było możliwe zaznanie tych stanów. Aktorstwo daje tę unikalną możliwość, jest aktywnym uczestnictwem w różnych fabułach. Istnieje więc fabuła, która pozwala Otellowi przeżyć fakt zabicia żony, a mnie grającemu Otella pozwala publicznie pokazać proces, w którym ja wyzwalam z siebie ów kod genetyczny, którego w życiu prawdopodobnie nigdy bym nie ujawnił.

— Ujawnianie to jest jednak iluzja, bo sięgając po skrajny przypadek — nigdy pan nie umiera. A więc nie przeżywa czegoś autentycznie.

— To jest bardzo trudno uchwytne w słowach, natomiast całkowicie jasne w głowie. Istnieje takie piękne porównanie u Jouveta. Dlaczego płaczesz? — pyta aktora — Bo chcę wzruszyć widza — pada odpowiedź. Ale widz się tym nie wzruszy, ponieważ zawód aktora jest zbliżony do zawodu prostytutki. Ona pracuje po to, żebyś ty miał przyjemność. A w momencie, w którym ona zaczyna przeżywać ekstazę, to ty jako człowiek, który ją kupił, będziesz odczuwał zażenowanie. Nie można więc dopuścić do głosu w grze elementu ekshibicjonizmu, bo to nie ma niczego wspólnego ze sztuką. Jeśli ja mam zagrać ostrą scenę erotyczną i moją partnerką będzie moja żona, to ja tego dobrze nie zagram, ponieważ będę się wstydził, że publicznie ujawniam moje życie intymne. Natomiast z koleżanką, z którą mnie nic nie łączy, to może wyjść, ponieważ gra aktorska, to jest coś z natury rzeczy sztuczne.

— Czy nie zdarzyło się jednak panu zapomnieć o samokontroli i włączyć element ekshibicjonizmu?

— Na próbach, tak. Dlatego, że aby wybrać właściwą emocję, muszę różne emocje na ten temat z siebie wyzwolić. Bo to są mikroelementy, które stanowią o prawdzie lub nieprawdzie granej przeze mnie postaci i wtedy to się zdarza. Jeżeli w filmie „Bez znieczulenia" jest scena, w której przygotowuję kolację, kiedy jestem całkowicie bezradny (zresztą tę scenę cenię sobie aktorsko najwyżej), to wyobraziłem sobie całą sytuację, czyli sięgnąłem do własnych doświadczeń. Na szczęście tak się złożyło, że ja zupełnie nie umiem gotować. Zrobiłem kilka ćwiczeń w kuchni i byłem bezradny. Dzisiaj żona poprosiła, żebym przygotował jej kanapkę. Szukałem wędliny przez 10 minut. Wstydziłem się zapytać, gdzie ona leży, a leżała na samym wierzchu w lodówce. Ale ja tego nie widzę, bo jest to sfera zupełnie mi obca. Ja tego nie rozumiem, że sól, że pieprz, że zapałki, bo jestem tak zdenerwowany faktem, że muszę coś w kuchni zrobić!

— Czy nie tęskni pan czasem, aby w życiu zdarzyło się to, co gra pan na scenie czy w filmie?

— Nie, bo ja gram jakąś postać i szybko o tym zapominam. Inaczej bym zwariował. Mam takich kolegów, którzy zostają po spektaklu i mówią: „Nie, jeszcze nie mogę wyjść, jeszcze muszę pobyć z tym człowiekiem którego grałem". A odczep się ode mnie. Nienawidzę cię za to, bo nieprawdę mówisz!

— Skąd bierze się ta pewność?

— Bo nieprawdę mówi! Bo to znaczy, że nie jest fachowcem. Nie umie dobrze grać, jeżeli udaje, że on z postacią obcuje metafizycznie. Ja wychodzę z teatru, zrzucam kostium i do widzenia panu, panie postaci! Jestem prywatny pan Zapasiewicz. Skończyło się! Idę do przyjaciół, wracam do żony i pan mnie już nie interesuje. Ja się z panem spotkałem między 19.00 a 20.30, a potem koniec.

— Czy urlop bywa dla pana okresem rachunku sumienia? Czy chciałby pan w swoim życiu coś zmienić?

— Zmienić już niewiele mogę, bo niczego innego nie umiem robić. Ale przez ostatni rok czy dwa coraz częściej zadaję sobie pytanie, po co ja to w ogóle robię? Jaki jest społeczny sens tego? Czy jest to naprawdę komuś potrzebne? Na początek myślałem, że to ma sens doraźny, że sztuka winna wprost oddziaływać na ludzi. Ale było to dość naiwne myślenie, bo okazało się że doraźnie to niczego nie załatwia... Natomiast dochodzę do wniosku, że jest to zawód, który nie tylko objawia się samym faktem dokonań artystycznych na ekranie czy na scenie. Okazuje się bowiem, że widzowie szukają u nas pewnego modelu postaw, że interesuje ich, co ja myślę i nie jest to wtrącanie się w moje prywatne życie. Kiedyś przeciwko temu gorąco protestowałem, że to w ogóle nie powinno nikogo obchodzić... Traktowałem swój zawód bardzo instrumentalnie, to znaczy, że jestem jedynie od wykonywania ról i na tym koniec. Teraz zrozumiałem, że ma to wszystko jakiś głębszy sens. Film coraz częściej staje się dokumentem czasu. Przez ostatnich kilka lat, sądzę, że coś tam udało mi się zarejestrować. Powiedzmy ów scentycyzm i relatywizm tego faceta z „Barw ochronnych", jego pozorny cynizm. I wiadomo, dlaczego on jest taki po swoich przeżyciach w latach pięćdziesiątych. Znam wielu moich kolegów z pokolenia ZMP, którzy przeszli na tego typu pozycje. Takich na przykład, którzy cali siedzą w starożytności i uważają, że wszystko jest niebywale relatywne i nie ma większego znaczenia. To czy tamto powiedział Platon i potem już wszystko jest wtórne. Ale to, że Czechow napisał o dwóch ludziach, którzy nie mogą się spotkać, to już dawno w „Antygonie" jest załatwione. A to, że przychodzi nowa władza i obiecuje, że będzie lepiej — zawsze w historii tak było.

Jeszcze w szkole teatralnej mówili nam, żeby chodzić po mieście, po kawiarniach i obserwować ludzi. I myśmy to robili w swojej naiwności, choć niewiele z tego wynikało. Bo okazuje się, że do tego trzeba mieć dużo doświadczenia, żeby zrozumieć na czym to polega. Dobrym przykładem byłby tu film „Bez znieczulenia". Co byśmy zobaczyli oglądając ten film od tyłu? Niezależnie od tego, czy główny bohater zabił się gazem, czy nie, to zobaczylibyśmy faceta, o którym wiemy, że był dziennikarzem w stanie depresji, w stanie upadku — nie dogolony, pije wódkę, itd. Natomiast oglądając, krok po kroku, wstecz, analizując, znajdujemy przyczyny takiego stanu rzeczy. Jeżeli te przyczyny są niewiarygodne, to jest to zła analiza i złe dzieło artystyczne.

Zagrałem epizod w filmie Kijowskiego „Kung-fu". Postać dyrektora fabryki, o której się mówi, że jest negatywna. I ja się z tym nie zgadzam. Bo z punktu widzenia tego człowieka on ma rację. Dopiero jego układ społeczny w stosunku do innych układów może być negatywny. Nie ma takiej postawy ludzkiej w ogóle, w której nie można by wykryć powodu, dlaczego człowiek tak, a nie inaczej postępuje. Grając jakąś postać muszę ją wyposażyć w argumenty które powinny być przekonywające. Aktorstwo, jako zawód, służy do tego, aby publicznie ujawniać widzom różne reakcje.

— Urlopowy rachunek sumienia, już poza zawodem, czy także się panu zdarza?

— Coraz częściej myślę o tym, jak to się wszystko skończy. Przyznam się, że przez te całe dwadzieścia cztery lata pracy zawodowej nie robiłem niczego, żeby ustabilizować własne życie. W tym sensie, abym się zastanawiał, co z tego ma wynikać. Nie byłem zainteresowany niczym, co by mnie do czegokolwiek przywiązywało. Nawet podejrzewam, że popełniłem wiele błędów w dziedzinie stosunków z drugim człowiekiem. Przeszedłem przez różne etapy szukania swojego miejsca w życiu. Teraz, kiedy na to patrzę, to myślę, że to nie jest dobrze, że tak się stało, ale z drugiej strony, że jest dobrze. Bo przy wszystkich swoich oporach wewnętrznych i wrodzonych kompleksach, nadmierna stabilizacja nie pozwoliłaby mi przeżyć pewnych rzeczy, sytuacji, napięć i stresów, dzięki którym potrafię odnaleźć się, już na gruncie zawodowym. Wiele spraw nie jest mi obcych osobiście, a te, których sam nie przeżyłem, sądzę, że potrafię zrozumieć. Szereg ponawianych prób odnalezienia się w dorosłym życiu i wiara, że kiedyś to da rezultaty, powodowała, że odrzucałem lub deptałem wszystko, co mi na tej drodze przeszkadzało. Miałem klapki na oczach, byłem strasznym egoistą. Ale teraz, kiedy przez ostatnie lata przyszło uspokojenie i myśląc o tym, że niedługo trzeba będzie kończyć, bo już jestem za połową, sądzę, że nadszedł czas, aby w uczciwy sposób i w zgodzie ze sobą podjąć próbę ustabilizowania się, uporządkowania swoich spraw. Ta myśl gdzieś tam we mnie dojrzewa. Żeby mieć spokojne miejsce, coś, co by można nazwać domem, gdzie można się zamknąć, pomyśleć, dokonać próby czegoś... To może jest wielka ambicja, ale mam taką, żeby coś po sobie zostawić, nie tylko w sensie ulotnych prac scenicznych. Coraz silniejsza jest we mnie chęć napisania czegoś. Niekoniecznie o moim zawodzie nawet. Tylko o obejrzeniu życia z punktu widzenia człowieka, który ten zawód uprawia.

Rozmawiał:
MAREK MILLER

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ

WIECZÓR (3)

VII

FRONT MORGES

Po śmierci Piłsudskiego Dmowski bynajmniej nie powiedział sobie: „Teraz ja". Przeciwnie, w dalszym ciągu trzymał się linii, że dojście do władzy na podstawie jakiegoś kompromisu politycznego jest niewskazane, bronił czystości doktryny. Może dodawało mu otuchy, że Polska była co prawda rządzona przez jego przeciwników, lecz że ci przeciwnicy wykonywali jego program prawie we wszystkich zagadnieniach. W każdym razie nie dojście do władzy, lecz raczej troska o polityczne wychowanie społeczeństwa cechuje Stronnictwo Narodowe. Stronnictwo Narodowe ma duże wpływy, odnosi czasami nadspodziewane sukcesy wyborcze, jak to było przy wyborach do rady miejskiej w Łodzi, ale nie widać w nim dążenia do władzy, chęci sięgania po władzę.

Toteż ugrupowania polityczne w Polsce na krawędzi r. 1936—1937 dzielić trzeba na ugrupowania aktywne i bierne. Do biernych zaliczam Stronnictwo Narodowe, ponieważ nie chciało iść po władzę.

Natomiast grupy znacznie słabsze od Stronnictwa Narodowego zaczynają ujawniać dużą aktywność: Front Morges i ONR. I „morżowcy". i ONR chcieli iść do władzy, tylko tamci chcieli do niej dojść drogą koalicji stronnictw opozycyjnych, ci opanowaniem, wejściem się do centrum władzy przez zyskanie wpływów wśród spadkobierców Piłsudskiego. Poza tym był jeszcze pomiędzy Frontem Morges a ONR szereg różnic, o których wspomnę, ponieważ da to nam ilustrację różnych zagadnień w Polsce.

Na jesieni 1936 roku do willi Ignacego Paderewskiego, genialnego pianisty i b. premiera polskiego, przyjechali — Witos, który wciąż mieszkał na emigracji w Czechach, nie chcąc wraz z Liebermanem, Kiernikiem i Bagińskim poddać się skazującemu go wyrokowi sądowemu oraz gen. Sikorski. Paderewski za czasów wielkiej wojny był w obozie diametralnie przeciwnym Sikorskiemu, za czasów rządów Sikorskiego jako premiera, organ prasowy, wydawany przy pieniężnym poparciu Paderewskiego, „Rzeczypospolita" prof. Stońskiego, zwalczała Sikorskiego, ale po zamachu majowym doszło między nimi do porozumienia. Gen. Sikorski w roku 1928 wydał książkę o zagadnieniach wojennych, w której kładł wielki nacisk na techniczne przygotowanie wojska, na motoryzację armii, książkę, która zasługiwała na największą uwagę i szacunek. Poza tym Sikorski miał w kraju opinię doskonałego wojskowego, który zmuszony został do opuszczenia wojska ze względów ściśle politycznych, ze względu na niechęć do Piłsudskiego i piłsudczyków. Sikorski był uważany także za stronnika Francji, za polityka, który by miał za sobą poparcie Francuzów. Ten charakter gen Sikorskiego nabierał specjalnego znaczenia w czasach polityki Becka, która drażniła Francję często jak najbardziej niepotrzebnie, żeby nie powiedzieć — umyślnie, i w ogóle wywoływała niechęć Francuzów do naszego rządu.

Gen. Sikorski przyjechał do Morges z planem koncentracji narodowej, skupienia wszystkich sił. Plan ten odpowiadał zawsze idealistycznie nastawionemu Paderewskiemu. Ideowym założeniem planu byli „wszyscy", a więc i piłsudczycy według tego planu powinni byli wejść do jakiejś wspólnej koalicji. Było to założenie teoretyczno-zasadnicze, w rzeczywistości Sikorski zdawał sobie sprawę, że piłsudczycy posiadaną władzą nie mają zamiaru z nikim się dzielić. Ale planem Sikorskiego — już teraz realnym — było doprowadzenie w Polsce do koalicji wszystkich stronnictw opozycyjnych.

Ten plan Frontu Morges, jak go zaczęto w Polsce nazywać również się nie udał, a to ze względu na oporne stanowisko obu skrzydeł naszej opozycji tj narodowego i socjalistycznego Zwłaszcza wyraźnie akcentował swoje stanowisko Dmowski, a więc Stronnictwo Narodowe. Nie chciał on żadnych ideowych kompromisów, nie chciał zbytniego akcentowania haseł demokratycznych, ponieważ uważał hasła demo-liberalne za przeżytek i za przeciwieństwo swoich haseł narodowych. Poza tym Dmowski ten najwybitniejszy u nas przedstawiciel antyniemieckiej orientacji lękał się teraz, aby ultra-filo-francuski charakter inicjatywy Sikorskiego nie wciągnął jego stronnictwa we współpracę z międzynarodowymi przeciwnikami Hitlera, tj. z masonami i Żydami. Dla Dmowskiego kwestia żydowska była zawsze podstawą orientacji. Do żadnego ugrupowania nie mającego wyraźnie antysemickiego charakteru Dmowski by nie przystąpił.

Inicjatywa frontu Morges dała jednak poważne rezultaty Z tej inicjatywy narodziło się połączenie dwóch grup: NPR prawicy z częścią chadecji, mianowicie ze śląsko-pomorską grupą Chrzecijańskiej Demokracji, pozostającej pod wpływami Korfantego. Kongres nowego Stronnictwa Pracy, powstałego z połączenia tych ugrupowań, odbył się w początkach roku 1938 prezesem stronnictwa wybrano gen Józefa Hallera Spowodowało to zresztą rozłam w Związku Hallerczyków, z którego wystąpił gen Januszajtis, jako członek Stronnictwa Narodowego zwalczającego front Morges.

Połączenie NPR prawicy i części chadecji nie było zbyt wielkim wypadkiem, ponieważ obie te organizacje nie były bardzo liczne miały raczej lokalne znaczenie Natomiast o wiele poważniejszym sukcesem Frontu Morges było pozyskanie współpracy ze Stronnictwem Ludowym Była to organizacja bardzo liczna, zwłaszcza, że podział na piastowców, wyzwoleńców i Stronnictwo Chłopskie już zniknął — ludowcy przechorowali także odejście pewnej ilości swych ludzi do obozu rządowego i wzmacniali się w terenie. W zastępstwie Witosa, przebywającego na emigracji, b. marszałek sejmu. Rataj przewodniczył ludowcom ,ale wielką rolę odgrywali prezesi okręgów: w Poznańskiem Mikołajczyk, w Krakowskiem najbliższy przyjaciel polityczny gen. Sikorskiego prof. Kot, który wstąpił do Stronnictwa Ludowego w roku 1932. w Małopolsce wschodniej Gruszka, najbliższy człowiek Witosa.

Front Morges posiadał więc już dwa ugrupowania polityczne, jedno słabe: Stronnictwo Pracy, drugie silne: Stronnictwo Ludowe, posiadał też znaczne wpływy w prasie. Wprawdzie nowo powstały organ codzienny Frontu Morges „Nowe Państwo", później „Nowa Rzeczypospolita" pod redakcja Popiela wychodzić nie mógł bo władze go zamknęły, to jednak Front Morges znalazł oparcie w dzienniku znacznie poczytniejszym, bo w „Kurierze Warszawskim", w którym pisywało wielu sympatyków Frontu Morges Koncepcja gen. Sikorskiego zyskała zwolenników wśród narodowców, wśród których powstała nawet cała grupa osób, która uważała antysemickie uprzedzenia Dmowskiego wobec projektów Frontu Morges za nieuzasadnione. Zdaje się, że do tej grupy przychylał się także prof Stroński, zdecydowany frankofil polski.

Dwiema głównymi cechami Frontu Morges były: 1) bezwzględne, powiedziałbym — bezkrytyczne frankofilstwo oraz 2) żywa niechęć do Piłsudskiego. Było to choćby dlatego nie uzasadnione, że Piłsudski umarł, a żywej polityki nie robi się dla zwalczania osób zmarłych. Ale prawie wszyscy kierownicy Frontu Morges składali się z ludzi, których Piłsudski osobiście skrzywdził lub pognębił. Toteż antypiłsudskizm stanowił najsilniejszy akcent działalności tego frontu.

ONR był już dlatego przeciwieństwem Frontu Morges że składał się z ludzi młodych. Front Morges miał za sobą swoje wczoraj i przedwczoraj, ONR — tylko jutro. Poza tym w ONR działało jeszcze silniej, niż w Stronnictwie Narodowym, hasło antysemickie i niechęć do haseł demo-liberalnych. ONR był jednak organizacją o wiele słabszą od Frontu Morges, bo bez nazwisk, bez prasy, bez starszych organizacji, bez tłumów ludowych. Ale ONR był także ugrupowaniem aktywnym, dążył niecierpliwie do władzy, czy też wpływów na rząd, był przeciwnikiem biernie wyczekującej ideowej postawy Stronnictwa Narodowego. Katownia w Berezie, przez którą przeszli wszyscy kierownicy ONR, nie przeszkodziła tym młodym ludziom zbliżyć się do obozu rządowego.

VIII

OZON

Natura nie znosi pustki. Po rozwiązaniu BBWR przez Sławka powstała potrzeba organizacji popierającej rząd, przy tym o kaduceusz w tej organizacji ubiegał się nawet Kościałkowski ,czyniąc próbę oparcia jej na związkach byłych wojskowych, jak o tym już wspomniałem ,potem Grażyński, tworząc próbę porozumienia związków harcerstwa, nauczycielstwa, młodzieży wiejskiej i strzeleckiego. I ta próba została storpedowana przez polityków stojących blisko marszałka Rydza. Rydz bał się supremacji inteligentnych „naprawiaczy" w obozie, którego miał być bóstwem.

Należy zanotować dwie nieudane próby Rydza — zbliżenia się, jak mówił, do społeczeństwa. Były nimi udział Rydza w komersie „Arkonii" w początkach r. 1936 i udział Rydza w poświęceniu pomnika w Nowosielcach latem tego roku.

„Arkonia" miała być naśladownictwem Nieświeża. Moją rolę z Nieświeża odegrał tu mecenas Stypułkowski, członek obozu narodowego, ale przyjaciel osobisty ministra sprawiedliwości, Grabowskiego. Ze strony marszałka Rydza prowadził rokowania płk Strzelecki. „Arkonia" była to zasłużona, starodawna korporacja studencka, która z politechniki ryskiej przeniosła się do Warszawy i podczas zamachu majowego z bronią w ręku walczyła po stronie Wojciechowskiego i legalnego rządu. Zdaje się, że otoczenie Rydza przesadzało znaczenie korporacji w życiu studenckim. Należy tu zaznaczyć, że arkoni wysunęli prośbę, by w czasie toastów nie było wymówione nazwisko marszałka Piłsudskiego, i że prośba ta była przez płk Strzeleckiego uwzględniona, nie wiem czy za wiedzą marszałka Rydza. Pobyt w korporacji był uznany za podanie ręki antysemitom i dlatego niechętnie komentowany przez obóz lewicowy, m.in. przez lewicę legionową.

Nowosielce udały się Rydzowi jeszcze o wiele gorzej. Miał tam być wzniesiony pomnik dla jakiegoś bohatera chłopskiego z czasów Władysława IV, jeśli się nie mylę — Pyrza, o którym nikt uprzednio nie słyszał, ale którego gdzieś wynalazł jeden ze współpracowników krakowskiego „Ikaca". Rydza do wyjazdu na tę uroczystość namówił Stopiczyński, redaktor „Kuriera Porannego", upatrując w tym gest w stronę chłopa polskiego. Stronnictwo Ludowe świetnie odparowało to posunięcie. Na poświęcenie do Nowosielec przyjechały tłumy włościan, wołające przez cały czas: „Chcemy Witosa", gdy Rydz z kościoła szedł na plebanię na śniadanie do proboszcza, straż porządkowa z zielonymi opaskami na rękawach wołała mu prosto w twarz: „Oddaj Witosa". Rydz był przeciwnikiem amnestii Witosa, demonstrację odczuł jako skierowaną przeciwko sobie, opuścił więc tę uroczystość przed zakończeniem programu. W całym tym incydencie z Nowosielcami ujawniło się niewyrobienie taktyczno-polityczne Rydza.

Swoją „dyktaturę" — bo dyktaturą nazywamy połączenie władzy wojskowej i cywilnej i posłuszeństwo ministrów, obiecane mu przez Składkowskiego w okólniku — konsumował Rydz w dziwny sposób. Oto co dzień ukazywało się w „Gazecie Polskiej" jego oblicze, przyozdobione zawsze tym samym uśmiechem błogiego zadowolenia, w otoczeniu co dzień innej delegacji, która przynosiła mu dyplom obywatelstwa honorowego jakiejś gminy lub związku, żeton honorowy lub coś takiego, równie pozbawionego związku z pracą człowieka obciążonego straszliwą odpowiedzialnością za przygotowanie narodu do wojny. Po południu szedł Rydz do domu, gdzie odpoczywał.

Pomimo tej indolencji Rydza i dowodów braku inteligencji, które składał na każdym kroku, sytuacja jego wśród narodu polskiego wciąż urastała. Zaczęły się u nas wytwarzać stosunki przypominające Francję Ludwika XV. Wtedy stawiano na taką czy inną kochankę króla — u nas stawiano na taką czy inną osobistość mającą ucho Rydza. Zaczęły się stwarzać grupki, których jedynym zadaniem był dostęp do Rydza. Taką grupą byli ludzie z „Zaczynu", dwutygodnika, który zaczął wychodzić posuwięć. Utrzymywał on kontrakt z kołami sędziowskimi w Wilnie, wśród których przeważali ludzie uczciwi, wychowani w wysokim poczuciu niezależności sędziowskiej, zaszczepionej przez doskonałe sądownictwo rosyjskie, przy tym konserwatyści z upodobania. Klub 11 listopada gromadził też secesjonistów ze Stronnictwa Narodowego, grupę Stahla, Piestrzyńskiego, Drobnika, którzy publicznie palili penaty swego poprzedniego domostwa. Wreszcie obok takich grupek czy kanap ideowo-politycznych zaczęły się dobijać do Rydza różne osobistości w różnych zainteresowane interesach. Stosunki osobiste z Rydzem były później wyzyskiwane w niewłaściwy sposób, lecz zaznaczam, że niewątpliwie bez jego wiedzy i woli. Rydz nie zdobywał się na gesty karcenia aferzystów, z którymi tak często występował Piłsudski, nie zawsze zresztą kierując podejrzenia swe w odpowiednią stronę.

Rydz królował na Olimpie obiektywów fotograficznych — swoim namiestnikiem na ziemi zrobił Adaka Koca. Był to były oficer legionowy, ranny w wątrobę, pułkownik jako szarża i b. „pułkownik" jako przynależność polityczna, b. przyjaciel Sławka, b. podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu, który aczkolwiek sprawami finansowymi zaczął się w życiu zajmować późno, przejął się jednak zasadami klasyczno-liberalnej gospodarki i został zdecydowanym przeciwnikiem metod ministra Kwiatkowskiego, jego programu i jego osoby. W wysuwaniu też Koca widziano więc „rozgrywkę" z Mościckim, który Kwiatkowskiego namiętnie bronił. Ale Rydz oświadczył, że Kocowi „przydzielił" „odcinek" organizacyjny nie skarbowy i dezawuował chęć atakowania Kwiatkowskiego.

Początki działalności Koca wiążą się z ONR. Koc zaczął się zwracać do różnych grup politycznych celem wciągnięcia ich do zamierzonej konsolidacji narodowej Odmówiły mu wszystkie, ale ONR zgodził się utrzymywać pewne kontakty. ONR podzielił się na dwie grupy. Pierwsza, inteligencka, skupiała się przy dzienniku „ABC" i tygodniku „Nowy Ład". Miała wpływy na akademików warszawskich. Przywódcą jej był Rossman, który umarł później na skutek poderwania mu zdrowia w Berezie. Druga grupa ONR nazywała się „Falanga". Przywódcą jej był Bolesław Piasecki, człowiek 25-letni, także b. więzień Berezy, który zaczął stosować taktykę podobną do tej, jaką się zwykle przypisuje masonerii. Wysyłał swoich ludzi do różnych obozów politycznych, nie tracąc z nimi kontaktu i pozostając ich szefem. Właśnie „Falanga" uprawiała robotę terrorystyczną, rzucając petardy na sklepy żydowskie, mogła więc być zaliczana do grup skrajnych. Piasecki chciał nadać ideologię obozowi Rydza i Koca. Koc zgodził się powierzyć mu młodzież. Został założony Związek Młodej Polski, którego szefem był mianowany Rutkowski, oficjalny członek nielegalnej organizacji Piaseckiego. Mieliśmy więc obóz rządowy, powstający dla obrony rządu i zapoczątkowywany przez członków organizacji nielegalnej, którzy się do tego głośno przyznawali. Nie świadczyło to zbyt dobrze o przejrzystości planów dyktatora.

W tym czasie wybucha także sprawa „Płomyka", która odegrała dużą rolę. Nauczycielstwo polskie miało dwie organizacje: jedną katolicką i narodową, drugą ulegającą wpływom lewicowym. Jędrzejewicz, oczywiście, popierał tę drugą, a wzmocniwszy ją odpowiednio, rozjuszył na siebie, na rząd i na régime. W ramach tej organizacji panowała daleko idąca koleżeńskość i solidarność zawodowa. Wydawano tam pisma dla dzieci: „Płomyk" i „Płomyczek". Redaktorką była Wanda Wasilewska, córka starego popesowca z grupy przyjaciół Piłsudskiego, Leona Wasilewskiego, i stąd patrzano przez palce na jej skrajną lewicowość. Obecnie Wanda Wasilewska jest działaczką bolszewicką. Jeden z numerów tego „Płomyka" został poświęcony propagandzie państwa Sowietów. Dyrektor departamentu policji, Henryk Kawecki, zresztą lewicowiec, uznał ten wyczyn pedagogiczny za zbyt daleko idący i numer „Płomyka" skonfiskował. Oenerowcy, siedzący u Koca, uznali incydent za odpowiedni do ataku na leaderów Związku Nauczycielstwa Polskiego, których uważali za agentów międzynarodowych. Premier Składkowski oświadczył, że w Związku istnieją „tendencje komunistyczne", zresztą oświadczył tylko po to, aby w kilka miesięcy uznać tego rodzaju oskarżenia, które sam pierwszy wypowiedział, za potwarz i paszkwil. ONR na razie zwyciężył i uzyskał, że rząd zawiesił zarząd Związku i mianował komisarza w osobie oenerowca, członka organizacji nielegalnej, Musioła z Katowic. Dalej nie można było posuwać bałaganu. Związek zareagował strajkiem; niebezpieczne tendencje w zarządzie Związku niewątpliwie istniały, walka z nimi była celowa i wskazana, ale w jej przeprowadzeniu popełniono szereg nietaktów. Skończyło się to zresztą całkowitą przegraną Koca. Zwyciężył Świętosławski, przyjaciel polityczny Mościckiego, który Związek obronił i Musioła wypędził.

Kraj jest ciągle informowany, że Koc tworzy organizację polityczną z rozkazu Rydza. W ogóle operuje się co chwila określeniem: „rozkaz Naczelnego Wodza" — a ani Rydz, ani nikt inny nie zdobywa się na żaden protest przeciwko tego rodzaju przeinaczeniu pojęcia rozkazu Naczelnego Wodza, które może dotyczyć tylko spraw wojskowych i powinno mieć dla każdego obywatela nieomal sakralne znaczenie. Koc opracowuje statut swej organizacji i ideową deklarację tak niemożliwie długo, że mimo powszechnego kultu osoby Rydza zaczyna to w końcu wszystkich śmieszyć.

Ale oto nareszcie, dnia 20 lutego 1937 roku, ukazuje się dawno oczekiwana „polityczno-społeczna deklaracja ideowa obozu tworzonego przez płk Adama Koca". Pisaną stylem ciężkim, zawiera treść nader umiarkowaną; pod względem społecznym zbliżona jest do deklaracji programowych stronnictwa zachowawczego, pod względem narodowym jest zdecydowanie nacjonalistyczna — akceptuje bez zastrzeżeń całą ideologię Dmowskiego.

Żydzi w Polsce nie biorą jednak tragicznie tego nawrócenia się obozu rządowego na antysemityzm. Dowcipny i utalentowany felietonista polityczny ,najwybitniejszy publicysta narodowożydowski, Bernard Singer, powiada: zetatyzowano u nas antysemityzm, a wiadomo, że etatystyczne przedsiębiorstwa zwykle bankrutują.

Do obozu tworzonego przez płk Koca zgłasza się natychmiast tysiące akcesów. Zgłaszają się zarządy takich organizacji, jak Czerwony Krzyż, lub straże pożarne w imieniu wszystkich swoich członków. Stąd ilość członków obozu tworzonego przez Koca w ciągu kilku dni wynosi kilka milionów.

Organizacja ta stosunkowo już teraz prędko uzyskuje nazwę, bo w ciągu niecałych kilku tygodni obmyślił dla niej Ferdynand Goetel, literat polski pozyskany dla idej totalistycznych, nazwę Obozu Zjednoczenia Narodowego, stąd „Ozon".

Powstaje teraz kwestia, czy Koc jest szefem, czy tylko whipem stronnictwa rządowego. Pytanie to jest bardzo ważne, bo od niego zależy, czy słowa deklaracji obowiązują rząd, czy też nie. Rząd dzielj się na ministrów Rydza, którzy dotychczas znani byli z działalności niezgodnej z tym, co głosiła deklaracja Koca. Poniatowskiego nie można uważać za zwolennika tez rolniczych ogłoszonych w deklaracji: Kwiatkowskiego — tez gospodarczych, Świętosławski minister oświecenia, wziął stronę Związku Nauczycielstwa w niedawnym konflikcie. Wygląda na to, że Rydz i Koc będą ogłaszali różne rzeczy w deklaracji stronnictwa rządowego, których rząd wykonywać nie ma zamiaru. W takim razie Koc występuje w roli dość przykrej, człowieka, który reklamuje stronnictwo rządowe obietnicami nie odpowiadającymi rzeczywistości.

Stosunek „Ozonu" do parlamentu? Koc odbył przed i po swojej deklaracji szereg konferencji z Carem, żądając przekształcenia parlamentu na parlament monopartyjny na wzór parlamentu Mussoliniego lub Hitlera. Car się temu zdecydowanie przeciwstawił, ponieważ dochowywał wierności Sławkowi i konstytucji. W rozmowie z Carem padły z ust Koca wyrazy: „Zobaczymy, co silniejsze, konstytucja czy trzydzieści dywizji". Car miał jednak nad swoim rozmówcą ogromną wyższość intelektualną i wyrobienia towarzyskiego. Prystor, ostrożniej niż Car, lecz także stosował wobec „Ozonu" łagodną obstrukcję. Skończyło się na tym, że powstał w sejmie i senacie klub „Ozonowy", do którego nie weszli firmowi przedstawiciele Sławka, jak Schaetzel lub Podoski lecz weszli przyjaciele Sławka, którzy osłabiali jego działalność od wewnątrz. Wpływ tego klubu na tok prac parlamentarnych był żaden, a gdy marszałek Car umarł, członkowie sejmowego „Ozonu" głosowali na Sławka jako na marszałka sejmu.

Po ogłoszeniu deklaracji Koc długo milczał i dopiero w grudniu 1937 roku wydał komunikat przeciwko mojej osobie.

W sierpniu 1937 roku usiłowano dokonać zamachu na Koca. Bomba rozerwała jednak samego zamachowca. Przestępca wykryty nie został, zdaje się, że zamach organizowały lewicowe koła legionowe.

W styczniu 1938 roku Mościcki zyskuje tyle na sile, że zaprasza Rydza do siebie i prosi, aby usunął swego przyjaciela Koca ze stanowiska wodza „Ozonu". Rydz zgadza się na to bez protestu. Szefem obozu tworzonego przez płk Koca zostaje gen. Stanisław Skwarczyński, którego kwalifikacje polegają na tym, że jest bratem nie żyjącego już wtedy Adama Skwarczyńskiego, człowieka bardzo uczciwego, przyzwoitego i sympatycznego, uchodzącego w kołach legionowo-lewicowych za filozofa i proroka, pisującego dość mętne wskazania ideowe.

Skwarczyński odbiera „Ozonowi" jakąkolwiek fizjonomie polityczną. „Ozon" staje się organizacją oportunizmu politycznego. Woła ciągle: „maszerować! maszerować razem!". Nie wiadomo jednak, dokąd ci ludzie mają maszerować: na pożar czy na weselisko, do kościoła czy na zabawę, na prawo czy na lewo. Odpowiadali co prawda, że tam, gdzie Rydz każe, ale z nich wszystkich Rydz o tym kierunku marszu wiedział najmniej, nie mając żadnego programu.

Młody leader „Falangi", Piasecki, miał dosyć tej zabawy. Flirty z Kocem, jeżdżenie salonką Rydza, zaniepokoiły więc osobą tego młodzieńca, ale dały powód młodzieży wszechpolskiej do oskarżania go o oportunizm. „Falanga" przestała rość liczbowo. Wobec tego Rutkowski, kierownik Związku Młodzieży Polskiej, z rozkazu Piaseckiego zrobił rozłam w tym związku — poszła za nim mniejszość, lecz była to mniejszość ideowa. Pozostali dostali się pod komende mianowanego przez Skwarczyńskiego mjr. Galinata.

(c.d.n.)

Po utworzeniu rządu Sławoja Składkowskiego. Karykatura współczesna

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

REFLEKSJE Z LEKTURY

Kiedy się tak wszystko wokół nas kotłuje, kiedy wrą emocje i — już, już — zdawać by się mogło, że strzałka na manometrze nastrojów przekroczy czerwoną kreskę, warto zatopić się w lekturze. Oczywiście, nie w lekturze gazet, broszurek i biuletynów, ale warto wówczas sięgnąć po dzieje polityczne Europy z czasów Napoleona III, albo, raz jeszcze przeczytać biografię Dantona, albo przypomnieć sobie dzieje XVIII-wiecznej Polski...

Okaże się wówczas, że właściwie wszystko już było, że *„nihil novi sub sole"*, że głopoty, prywaty, serwilizmu mieliśmy pod dostatkiem w każdej epoce i pod każdą szerokością geograficzną.

Jeśli mi ktoś, z wypiekami na twarzy, dygocąc z emocji, wskazuje książki, które *„tyle szkody przyniosły"* — wzruszam ramionami. Takich książek zawsze było sporo, a mimo to kultura jeszcze żyje. W wieku XVIII, przez ponad 100 lat, nie wydawano w Polsce wierszy *Jana Kochanowskiego*, był to poeta lekceważony. A jednak jego poezja żyje.

W wieku XVIII system oświatowy był straszliwy — produkował tępaków; a jednak ten sam wiek wydał całą plejadę tęgich umysłów. W ciągu trzydziestu lat pierwszej połowy XVIII wieku najpopularniejszym podręcznikiem w jezuickich szkołach było dziełko *„Polak sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi"*. Książka ta miała trzynaście wydań i odegrała zdecydowanie ujemną rolę nie tylko w kształtowaniu narodowej kultury, lecz także w formowaniu postaw społecznych.

No i co? Widocznie tak być musiało, bo takie książki, systemy i postawy zrodziła epoka. Dlatego nie wpadam w furię na widok takich książek i postaw, lecz szukam innych. I zawsze je znajduję w oceanie polskiej kultury.

Mało to było w naszych dziejach zbiorowych emocji, fanatyzmu i fascynacji organizowanych dla bardzo przyziemnych politycznych celów? W 1756 roku *Kajetan Ignacy Sołtyk* urządził w Berdyczowie uroczystości, które wstrząsnęły ówczesną Polską. Historyk napisze o nich po latach: *„Obchody berdyczowskie miały wymiar i rozmach epicki (...) Berdyczów ukazał niezwykłe siły tkwiące w rozsypującym się dacna organizmie społecznym, jakim było ówczesna Rzeczpospolita. Ukazał fenomen niezwykły, jak jeden klasztor, jeden biskup i paru magnatów, nawet wcale nie tych najpotężniejszych, potrafiło uruchomić machinę organizacyjną o niezwykłej mocy..."*

I historyk dodaje: *„natłok bezpośrednich wrażeń był tak wielki, że przytłumił na razie wszelką refleksję (..). Inne refleksje nie miały dostępu, choć rychło miały nadejść"*.

Ale zanim te refleksje nadeszły, uruchomiono przez skuteczne działanie wielkie masy ludzkie i poddano je rytmowi poruszeń według ściśle ułożonego scenariusza; potrafiono im narzucić ideę, której te masy się bezwzględnie podporządkowały.

A przecież ta idea była społecznie martwa, politycznie bez znaczenia, bo obrócono przeciwko wyimaginowanej groźbie najazdu tureckiego.

To było równo 225 lat temu. Czy takie lektury nie działają — mimo wszystko — refleksyjnie?

Bowiem te wszystkie zapisy w historycznych notacjach dowodzą, że świat jest jaki jest — albo jest, jaki był zawsze. Nieceniony pamiętnikarz *Matuszewicz* notuje, że w 1763 roku prymas *Łubieński „oddawszy się pod władzę książąt Czartoryskich i wziąwszy od Rosji dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych, wszystko to czynił, co ona kazała..."*

A sytuacja wciąż była zła. Jeśli nawet przyjąć — pisze *Zbigniew Goliński* — że szczyt anarchii przypadł na rok 1748, kiedy na sejmie warszawskim załamała się próba reform *Czartoryskich*, to w czasie publikacji znanego dzieła *Stanisława Konarskiego „O skutecznym rad sposobie"* nic nie wskazywało na stabilizację.

Konarski pisał w swoim dziele: „Anarchia, to jest stan bez rady i rządu, powoli opanowywa wszystko, a przez anarchię następuje pewny upadek wolności. Bo pod anarchią trwać długo żadne państwo nie może (...) Bojaźń jakaś, lichość umysłów i podłość generalna opanowała wszystko. Że interesów prywatnych, ambicji, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, że w nas pamięć o Rzeczpospolitej i ojczyźnie wygasła: jakby każdy obywatel kraju o niczym więcej myśleć nie powinien, tylko żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli..."

Ano, tak bywało. A potem..

A potem była jeszcze Konstytucja Trzeciego Maja — o której dziś z dumą mówimy, że była pierwszą nowoczesną i postępową konstytucją w Europie. Ale w kilkanaście miesięcy później wszelka konstytucja na ziemiach polskich przestała mieć sens, bo nastąpił rozbiór. Kto wie, gdyby ta konstytucja nie była tak bardzo postępował — może by nie doszło do rozbioru i ponad stuletniej niewoli? Ale to już rozważania dla historyków.

Co by jednak nie sądzić o opiniach historyków, warto zagłębić się w dokumentalne zapisy minionych epok. Warto wczytać się w listy, pamiętniki, dokumenty.. Refleksje z tych lektur są z pewnością owocniejsze, niż zbiorowe fascynacje i zadyszka emocji. Szkoda tylko, że tak wielu ludzi mówi o potrzebie poznawania historii ojczystej — a tak mało chce z niej wyciągać wniosków.

JERZY WILMAŃSKI

FRYZURY

Rys. ANDRZEJ GRUN

PROPOZYCJE

PRASA NA ZAKRĘCIE

Historia prasy Polski Ludowej zaczęła się 3 lipca 1944 roku w Chełmie Lubelskim, kiedy ukazał się pierwszy numer „Rzeczypospolitej". Dziś wracamy niejako do tego momentu, bo zapowiedziano ponowne wydawanie „Rzeczypospolitej" jako dziennika rządowego. Nie będzie już to ta sama „Rzeczypospolita", bo i czasy są inne. Ale, jeśli założymy, że ówczesna „Rzeczypospolita" ukazała się w wyniku obiektywnych potrzeb politycznych i społecznych, to i dziś jest podobnie. W sytuacji, kiedy działalność rządu podlega ostrej i często trudno powiedzieć, że nieuzasadnionej krytyce, rząd ten musi mieć możliwość prezentowania swego stanowiska. Służyć temu będzie „Rzeczypospolita".

Po latach czterdziestych, kiedy to w prasie panowała znaczna różnorodność stanowisk politycznych poszczególnych gazet i czasopism, nadeszły lata późniejsze, lata jednomyślności oficjalnej. Różnie zresztą z tą jednomyślnością bywało w różnych okresach, mam tu na myśli między innymi rok 1956 i następne, ale ostatnio mieliśmy w prasie model „jedności moralno-politycznej". Obowiązywał on aż do sierpnia 1980 roku. Później okazało się, że nasza prasa jest w gruncie rzeczy eklektyczna, bo i takie są zespoły redakcyjne.

Początkowo można było sądzić, że pojawienie się na rynku wydawniczym „Tygodnika Solidarność" zmieni tę sytuację, ale tak się przecież nie stało. W zasadzie — jak to słusznie zauważył w „Polityce" Jerzy Urban, nim jeszcze został rzecznikiem rządu — dziś tylko „Tygodnik Solidarność" i „Rzeczywistość" redagowane są przez zespoły politycznie jednolite. Dodałbym do tego jeszcze „Płomienie". Ale też i dziwić się nie ma czemu, bo są to zespoły, które ukształtowały się już w czasach trwającej walki politycznej i do tej walki zostały przystosowane.

Swego czasu jeden z moich kolegów powiedział w dyskusji, że „wszystkie gazety są partyjne, tylko nie wszystkie mają to napisane". Na owe czasy była to prawda, ale dziś trudno odmówić Jerzemu Urbanowi racji, kiedy pisze w „Polityce":

„...czas już przegrupować się, a to w imię tego, by różne dzienniki i periodyki przestały być eklektyczne lub nijakie, nie wiadomo czyje i po której stojące stronie, żeby miały swoją orientację polityczną i skupioną wokół niej klientelę."

Trudno bowiem ukrywać przed czytelnikiem prawdę, że zespoły redakcyjne też są podzielone i to zarówno pokoleniowo, jak i politycznie. Mniejsza zresztą o podziały pokoleniowe. Ważniejsze są podziały polityczne. Z tego faktu trzeba wyciągnąć właściwe wnioski. Niezbędne jest więc przegrupowanie, konsolidacja zespołów wokół kształtowanej linii politycznej. A dotyczy to nie tylko prasy partyjnej, której szczególną rolę określa „Statut PZPR", jak i „Uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR".

Tendencje są bardzo różne. Słyszałem nawet i o takim pomyśle, aby ograniczyć ilość gazet w kraju, a wzmocnić przez to gazety partyjne. Uważam taki pomysł za poroniony i to z kilku względów: politycznych, społecznych i technicznych. Jestem przeciwny różnym likwidatorskim tendencjom. Jestem natomiast za różnicowaniem linii pism i gazet. Na mapie prasowej Polski powinno być miejsce i dla „Polityki", „Tygodnika Powszechnego", „Rzeczywistości", „Tygodnika Solidarność", „Kierunków" i „Płomieni". Również i gazety partyjne muszą się różnić od wszelkich innych, ale nie tylko formatem, sposobem łamania, szatą graficzną, przede wszystkim linią polityczną, śmiałością podejmowania problemów, jakie życie nam niesie, ofensywnością ideową, polemicznością i odwagą. To nie będzie takie łatwe, ale to jest konieczne.

Prasa polska jest na zakręcie. Wyjść z tego zakrętu może jedynie wyraźnie określając swoją linię polityczną. Każda gazeta, czasopismo i zespół. Trzeba widzieć taką konieczność.

MARCIN RODAK

TELEWIZJA

„SOLIDARNOŚĆ" W TvP

Nie chciałbym podejmować roli żaby, która podstawia nogę tam gdzie konie kują. Z drugiej jednak strony niepodjęcie tego tematu, zwłaszcza w opisie programu tv minionego tygodnia, byłoby oportunistycznym rzucaniem piachu w oczy.

Kontrowersje wokół tzw. dostępu „Solidarności" do środków masowego przekazu, które zapoczątkował odpowiedni punkt zapisu porozumień gdańskich, wyraźnie się spotęgowały. Obecnie przybrały charakter jakiegoś, zgoła surrealistycznego, absurdu — ale o tym za chwilę. Przyczyn owych kontrowersji jest kilka. Dwie główne to żądania KKP prawa do repliki wobec nasilonego krytycyzmu oficjalnych wypowiedzi, których — co zrozumiałe — telewizja jest najbardziej spektakularnym przekaźnikiem, oraz zapowiadany (5 września rozpoczęty) I Krajowy Zjazd „Solidarności" i formuły jego sprawozdawczej obsługi.

W lipcu odbył się IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR — żeby nie sięgać już do miesięcy wcześniejszych — zjazd bezsprzecznie wyjątkowy nie tylko w powojennej historii naszego kraju. Potem, pod koniec lipca zwołano w Gdańsku posiedzenie KKP, którego — opublikowane w „Tygodniku Solidarność — stenogramy znacznie przekroczyły ideowe ramy przypisywane sobie dotąd przez ten potężny związek zawodowy. Trudno tu nie przypomnieć antypartyjnej demagogii wielu ulotek i plakatów, także rozmaitych enuncjacji poszczególnych działaczy KKP, również demonstracyjnych marszów „głodowych" łącznie z warszawskim itd. Obiektywnie to wszystko rozpatrując można rozumieć ton wyraźniejszego zaniepokojenia co do rzeczywistych zamierzeń działaczy „Solidarności", ton, który pojawił się w oficjalnych wypowiedziach przedstawicieli władz partyjnych i rządowych. Pytania sformułowane przez wicepremiera Rakowskiego, inaugurującego rozmowy rządu z KKP pozostały przecież bez odpowiedzi. Rozmowy zatem musiały zakończyć się w tamtej sytuacji fiaskiem. Wzajemne szarże wcale nie lekkich brygad jakie nastąpiły potem odbijają się publicystyczną (w prasie radiu i tv) czkawką po dzień dzisiejszy. Wystarczy wziąć do ręki np. trzy ostatnie numery „Tygodnika Solidarność". Gazeta dusi się pod naporem oświadczeń, rezolucji, protestów i uchwał które dotyczą spraw dla związku trzecio- i czwartorzędnych (swoją rolę pogłębiania antagonizmów odegrały „dni bez prasy") a tu zbliża się zjazd — etap w działaniach „Solidarności" o kluczowym znaczeniu. O rozmienianiu się związku na drobne mówił w sposób przekonujący Lech Wałęsa podczas piątkowej (4 IX) transmisji z konferencji prasowej KKP w Gdańsku. Transmisja ta — jak powiedział redaktor Mokrzyszewski na jej zakończenie — przedstawiła całość nakręconego przez tv materiału, wbrew sugestiom rzecznika KKP o konieczności skrótów. Nie bardzo rozumiem o co chodzi, czy o to aby niektóre pytania (może odpowiedzi) zostały przycięte jako nazbyt redykalne (bądź ugodowe)? Czy to znaczy, że i KKP ma swoją cenzurę? A może chodziło o wypowiedź Mariana Jurczyka, który posłużył się poetyką „pałka w łeb"? Sądzę, że od działacza KKP — zresztą jak od każdego wypowiadającego się publicznie, nie tylko w swoim imieniu — można wymagać odpowiedzialności za słowo. Ta sama refleksja przychodzi na myśl, gdy wspomni się wtorkową (1 września) audycję z udziałem Wałęsy, Bujaka, Waliszewskiego i przedstawiciela regionu Dolnego Śląska. Napisał w „Życiu Warszawy" *Leszek Bądkowski: Nieuchronna polityczność „Solidarności" nie może być jednak wytłumaczeniem dla subiektywnego politykierstwa.*

Jak wielu członków „Solidarności" tak i ja nie jestem w stanie myśleć o wszystkich jej działaniach w bezrefleksyjnej postawie na klęczkach. A z takimi postawami stykamy się przecież często. Każda wątpliwość, każde słowo krytyki naczupurza natychmiast „rycerza" lub „markietankę", z tarczą plakietki na piersi, wedle zasady „kto nie z nami — ten przeciwko nam".

Demagogia konfliktów polega jeszcze na czym innym. Otóż w większości przypadków zapomina się o przyczynie a rozpatruje z zastanawiającą drobiazgowością, skutki. Także tv informowała o incydencie z zakwestionowaniem jednego z numerów „Wolnego Związkowca" drukowanego przez KZ NSZZ „Solidarność" w Hucie Katowice. Rzecz jest powszechnie znana. W 23 numerze „Tygodnika Solidarność" spory artykuł na ten temat. O przyczynie dwa zdania (chodziło o jakieś rysunki satyryczne!?) o skutkach zdań dwieście. O nieodpowiedzialności związkowych redaktorów ani słowa, o działaniach dyrekcji i prokuratury cała epistoła. Żądamy zewsząd wiarygodności, sami bądźmy wiarygodni.

Teraz o wspomnianym na wstępie absurdzie. Odbywa się właśnie w Gdańsku I Krajowy Zjazd „Solidarności". W sposób niezrozumiały dla mnie (pogubiłem się już w oświadczeniach, kontroświadczeniach, uchwałach i protestach Radiokomitetu i KKP) TvP nie otrzymała akredytacji przy zjeździe. Otrzymały je telewizje innych krajów — jak sądzę — bez warunków autoryzacji swoich transmisji. Czyż nie jest jakąś piramidalną bzdurą fakt, że operatorzy telewizji zachodnioniemieckiej filmują malarzy napisu „Telewizja kłamie" przed wozem telewizji polskiej? Że prawa retransmisji zjazdu będziemy kupować (podobno za pośrednictwem BBC?). Jak mówię pogubiłem się w przyczynach takiej sytuacji. Jakkolwiek by jednak na nią nie patrzeć wiele milionów członków „Solidarności" zostało odciętych od informacji o zjeździe. Ta skórka (skrojona przez KKP) nie warta jest wyprawki (warunki Radiokomitetu) — bez względu na argumenty. I Krajowy Zjazd powinien być forum wszystkich członków „Solidarności" a nie paru setek działaczy.

Sprawa jest na tyle ważna, że postaram się do niej wrócić, bogatszy o kolejne wydarzenia i informacje.

GRZEGORZ GAZDA

HASŁO NUMERU: Miej oczy i uszy zamknięte. Będziesz mógł się tłumaczyć, że nie widziałeś i nie słyszałeś.

1/3 mini magazynek

PUNKT WIDZENIA

Atakujący okolicę słoneczny żar oślepiał i męczył. Najdotkliwiej odczuwali jego skutki mieszkańcy miasteczka, które akumulując ciepło zmieniało się powoli w dodatkowy grzejnik. Niewiele pomagały niedobitki chłodniejszego cienia, usiłujące przetrwać w studniach, w piwnicach i pod drzwiami. Z opalonych ludzkich ciał płynął pot w mięśnie wstępowało lenistwo i bierność. Pozbawiona życiodajnej wody roślinność traciła zieleń. Wreszcie pewnego dnia barometry drgnęły a radio podało wiadomość o odwrocie wyżu i o niekorzystnej sytuacji biometeorologicznej. Nadchodził niż.

Ciężkie, pofałdowane firanki chmur zasłoniły okno na wszechświat, zgarniając z ziemi spokój przyrody, ludzki gwar, kolory i plastykę krajobrazu. Rozległ się gong piorunów powołujący do życia chiński teatr cieni. Nastrojowi niesamowitości dały się porwać zrównoważone zwykle drzewa. Ich chude gałęzie pracowały teraz z szatańską iście siłą. Taniec kropel deszczu niby czardasz zmieniał rytm na szybszy. Ilość i jakość kałuż wzrastała zastraszająco.

W nocy dialog nieba z ziemią jak gdyby przybrał na sile. Światła błyskawic stały się przy tym jaśniejsze i częstsze, chmury zaś i ich refreny pełzające po powierzchniach kałuż, czarne.

Rano jednak pogoda popsuła się, i to do tego stopnia, że byłem zmuszony przerwać spacer. To znaczy niebo odzyskało swój błękit, powróciło słońce, zaczęły śpiewać ptaki.

JAN WALEK

NIEDOSZŁA KANONIZACJA

Dodatek (nie) kulturalny „Szpilek" (nr 35) ma za złe dziennikarzowi „Prawa i Życia" to, że jest echem. Dziennikarz powtórzył mianowicie za I sekretarzem KW w Katowicach, Andrzejem Żabińskim (wystąpienie na konferencji miejskiej w Sosnowcu), informację mówiącą o tym, jakoby żona i synowie Wsiewołoda Wołczewa (współtwórcy Katowickiego Forum) byli obecnie prześladowani.

Informacja ta minęła się z prawdą w dwu punktach. Ani p. Danuta Wołczew nie została zwolniona z pracy — jak podał (powtórzył) dziennikarz — ani też p. Wołczew nie ma synów, lecz syna.

Wydaje się nam jednak, mimo wszystko, że tym razem dziennikarz — echo spełnił pożyteczną rolę. Dzięki niemu nieprawdziwe informacje kolportowane ustnie w Sosnowcu dostały się na łamy, dzięki czemu mogły zostać zdementowane, dzięki czemu naderwane zostało pasmo nie tyle prześladowań, co procesu kanonizacyjnego Wsiewołoda Wołczewa (bez wykazania męczeństwa o kanonizację trudno).

OGŁOSZENIA DROBNE

* **BUTY** szyję na obstalunek. Antykorozyjne zabezpieczanie stanowisk. Usługi różne.
„Były kadrowiec"

* **MURARZY** zatrudnię pilnie.
Zgłoszenie w barze „U Mazepy" pytać o wojewodę

* **SYTUACJĘ** aktualną objaśniam zgodnie z życzeniami.
„Dziennikarz"

* **POGLĄDY** zmieniam. Obsługa ekspresowa.
Oferty pod „Taktyk"

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 1al w Warszawie nr 1153 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1943. K-16.